

ALFRED SZKLARSKI

Tomek w Tarapatach

WSTĘP

W prywatnych zbiorach bibliotecznych przyjaciół odnaleźliśmy egzemplarz nieco zapomnianej książki, opublikowanej przez Alfreda Szklarskiego pod pseudonimem Fred Garland przed ponad pół wiekiem, zatytułowanej „Tomek w tarapatach”. Często spotykamy się z prośbami Czytelników o przejrzanie archiwum Autora i wybranie kolejnych materiałów do publikacji, a jednocześnie jest nam zadawane pytanie o sposób tworzenia postaci Tomka Wilmowskiego. Postanowiliśmy wykorzystać ten zbieg okoliczności, aby dać Czytelnikom możliwość porównania pierwszej historii o Tomku z cyklem książek o tym bohaterze. Wielbiciele twórczości Alfreda Szklarskiego będą mogli prześledzić początki nastoletniego bohatera, który mógł podróżować po świecie, uczestniczyć w niezwykłych wydarzeniach, przeżywać przygody, poznawać nietuzinkowych ludzi — mądrych, ciekawych świata, parających się zajęciami, które były marzeniem nastolatków.

„Tomek w tarapatach” nie jest częścią cyklu o Tomku Wilmowskim.

Uważnemu Czytelnikowi nietrudno jednak będzie odnaleźć w tej książce

cechy głównego bohatera późniejszych dziewięciu książek. Jest to więc jakby pierwsza próba naszkicowania postaci młodego bohatera — nastolatka goniącego za przygodą, obdarzonego nadzwyczajnymi przymiotami, który jednak ochoczo przystaje na towarzystwo pouczających go dorosłych, przekazujących mu wiedzę o świecie, wychowujących go jakby mimochodem, pozwalających mu brać udział we frapujących wydarzeniach i stawać się kimś niezwykłym.

Jest w tej książce przygoda, nieco dydaktyki, humoru i odniesień do polskości bohatera i, choć niekiedy trąci myszką, wciąż ma wiele uroku.

Rodzina Alfreda Szklarskiego.

TOMEK WYRUSZA Z NOWEGO JORKU

Był wczesny ranek. Mgła opadła i w palącym słońcu ukazał się nowojorski port morski. Na masztach licznych statków zatrzepotały barwne bandery. Tłum pędzących ludzi jakby jeszcze bardziej się ożywił. Spiesznie wlewał się i wylewał z olbrzymiej hali terminala.

Dość wysoki, jak na swoje trzynaście lat, chłopiec z zainteresowaniem przyglądał się przetaczającej się fali ludzi. Już dawno zauważył, że urzędnicy portowi niezbyt dokładnie sprawdzają dokumenty. Teraz, na przykład, jakiś mężczyzna pokazał dokumenty, a trzech tragarzy niosących jego walizy przeszło za nim bez kontroli.

Tomek uśmiechnął się. Już wiedział, w jaki sposób można się dostać do portu. Wystarczyło nieść czyjś bagaż. Krytycznie ocenił swoje ubranie. W kącie za skrzyniami szybko zdjął marynarkę i zawinął aż do łokci rękawy koszuli. Zastanawiał się, co ma zrobić z marynarką i szkolną teczką przewieszoną przez ramię. Nie mógł się pozbyć ani marynarki, ani teczki, choć w tej chwili mu przeszkadzały. Wyglądał jak uczeń, który nie poszedł do szkoły...

— Co tu zrobić?! — zastanawiał się.

Zamiast książek w teczce były zapasy żywności. Z domu mógł je wynieść tylko w ten sposób, udając, że idzie jak co dzień do szkoły. Również marynarka mogła mu się przydać; nie wiedział, czy w Polsce jest w tej chwili ta sama pora roku co w Ameryce. A Tomek właśnie wybierał się do Polski i to bez wiedzy rodziców.

Mimo że miał dopiero trzynaście lat, nie odczuwał strachu. Od najmłodszych lat sam chodził po mieście i marzył o jednym — przygodach. W każdą sobotę dostawał od ojca dwadzieścia centów i szedł do kina. Za dziesięć centów kupował sobie dwie paczki popkornu w cukrze — ulubionego przysmaku amerykańskich dzieci. Drugie dziesięć centów przeznaczał na bilet do kina. Oczywiście chodził tylko na takie filmy, których bohaterowie przeżywali niezwykle przygody. Napatrzył się na dzielnych kowbojów, ujarzmiających dzikie konie, Indian i wszelakie czarne charaktery, aż sam zapalał żądzą przygód.

Godzinami bawił się z kolegami w kowbojów i Indian i marzył o wyprawie na Dzikie Zachód, aż do chwili, gdy w domu usłyszał o Polsce.

W strasznej wojnie Niemcy zajęli Polskę, a Polacy mimo to nie chcieli uznać się za pokonanych. Wojna trwała bardzo długo, aż w końcu do Nowego Jorku dotarły wieści, że w okupowanej przez Niemców Warszawie wybuchło powstanie. We wszystkich amerykańskich dziennikach opisywano polskie dzieci walczące na ulicach stolicy jak dorośli, rzucające się na czołgi z butelkami benzyny. Właśnie wtedy fascynacja Tomka dzielnymi kowbojami nieco osłabła. I nagle wojna się skończyła...

Rodzice Tomka otrzymali z Polski list. Matka płakała, a ojciec, który pracował w przemyśle zbrojeniowym i nie poszedł do wojska, chodził zdenerwowany. Tomek dowiedział się, że ktoś z rodziny, mieszkający w starym kraju, zginął. Lecz inni żyli i potrzebowali pomocy. Rodzice Tomka zaczęli wysyłać paczki. Potem okazało się, że część ginie w drodze i znów zaczęto się martwić, co robić, aby przesyłki docierały do adresata. Wtedy zrodził się wielki plan Tomka. Któż by mógł kraść paczki wysyłane do Polski? Oczywiście Niemcy! Długo się zastanawiał, jakby temu zaradzić, aż wpadł na doskonały, jego zdaniem, pomysł.

Postanowił udać się do Polski w ślad za paczką. Właśnie wczoraj matka zaniosta ją na pocztę. Tomek widział, jak gruby urzędnik pocztowy ponalepiał na nią znaczki, a później wrzucił do olbrzymiego wora. Tomek uważnie przyjrzał się znakom na worze i był pewny, że je zapamięta. Wieczorem schował podręczniki pod łóżko, a w teczkę zapakował przygotowywane od dawna rzeczy, niezbędne, jego zdaniem, do podróży. Znalazły się więc w niej

paczki sucharów i czekolada, pudełko sardynek, guma do żucia, nóż fiński i książka podróżnicza dla młodzieży. A także spory kawał sznura do bielizny, który miał służyć do związania schwytanych złodziei. Tomek zabrał też wszystkie oszczędności swoje i brata. Było tego coś około dwudziestu pięciu dolarów. Nie wiedział, czy to wystarczy na bilet, ale i tak nie miał zamiaru go kupować, gdyż nie posiadał potrzebnych do podróży dokumentów. Przeciętny mieszkaniec Stanów Zjednoczonych o dokumenty nie musi się starać, gdyż nie potrzebuje się nigdzie meldować. Oczywiście Tomek wiedział, że w domu ma metrykę urodzenia, ale nie orientował się, gdzie rodzice ją przechowują.

O paszport nie mógł się starać, gdyż na to był za młody, a rodzice nie pozwoliliby mu na taką wyprawę. Dlatego też postanowił ominąć wszelkie

formalności i wyruszyć bez dokumentów i zgody rodziców. Słyszał, że ludzie nieraz ukrywali się na statkach i odbywali dalekie podróże bez wiedzy kapitana.

Następnego dnia po nadaniu paczki do Polski Tomek, jak zwykle, wziął na ramię swą teczkę z „książkami” i, pożegnawszy się z matką, wyszedł z domu. Zamiast do szkoły udał się w kierunku portu, aby zrealizować swój plan. Matka niczego się nie domyśliła. Nie wiedziała przecież, że w teczce zamiast książek znajdują się zapasy na drogę i nie znała zamiarów syna.

Teraz, stojąc za stosem skrzyń, Tomek namyślał się, co zrobić z teczką i marynarką. Obawiał się, że zwrócą uwagę urzędników portowych.

— Muszę to wszystko ze sobą zabrać — postanowił.

Owinął więc teczkę marynarką i, wzięwszy tobołek pod pachę, wyszedł zza skrzyń. Nie wyglądał na robotnika portowego, ale miał nadzieję, że w ogólnym zamęcie zdoła się jakoś przedostać na molo, skąd odpływały statki.

Po dłuższej chwili wydało mu się, że nadszedł odpowiedni moment. Przy wejściu zatrzymały się dwa samochody. Z jednego wysiadł wysoki, chudy mężczyzna, a za nim rosły Murzyn, który zabrał się do wyładowywania waliz i pak z drugiego samochodu. Tomek z zazdrością obserwował białego, który wydawał polecenia. Zgodnie z nimi z pojazdu wydobywano różne pakunki. Tomek zaskoczony był różnorodnością bagażu podróżnego. Była tam kamera filmowa, futerały z bronią, jakieś puszki, walizy i skrzynie.

Wysoki mężczyzna doskonale orientował się w swoim dobytku.

Przywołał też kilku robotników portowych i objuczył ich bagażami. W końcu wszyscy ruszyli ku wejściu do portu. Mężczyzna szedł ostatni, pilnując ładunku.

Nagle Murzyn wypuścił futerał z karabinem. Biały ofuknął go za niezręczność, a tymczasem Tomek podbiegł szybko i podniósł futerał.

— Dużo paczek, mnóstwo za dużo — tłumaczył się Murzyn.

— Czy mogę pomóc? — zapytał Tomek, zarzucając broń na ramię.

Nie doczekał się zgody, gdyż Murzyn popchnął go przed siebie — i oto już szedł w kolumnie tragarzy.

Bez zatrzymania się minęli urzędników i weszli na długie molo. Futerał z karabinkiem był dość ciężki, ale Tomek zdawał się tego nie odczuwać. To, co go otaczało, było tak interesujące, że oprzytomniał dopiero, gdy stanęli przed pomostem łączącym statek z lądem.

Potężne dźwigi ładowały na statek olbrzymie wory.

— Takie same jak na pocztach! — pomyślał Tomek. — Czyżby ten statek płynął do Polski? Na pewno w jednym z tych wielkich worów, bujących się w tej chwili nad pokładem, znajduje się paczka wysłana wczoraj przez matkę.

Nie wierzył swemu szczęściu. Dokąd mógł płynąć ten wysoki jak tyka podróżny? Ponieważ zabierał ze sobą wielką ilość bagażu, musiał udawać się do biednego kraju. A gdzież są biedne kraje? Oczywiście w Europie! Musi to być wojskowy, powracający z urlopu do jednostki.

Tomek pewnym krokiem wszedł za Murzynem na pomost i po chwili schodził pod pokład do kabiny. Urlopowany żołnierz, jak myślał o nim Tomek, musiał być zamożny, gdyż miał do swej dyspozycji dwie kabiny. W jednej ostrożnie ustawiał paczki i walizy, w drugiej zaś Murzyn układał jego rzeczy osobiste. Tomek, doczekawszy się swej kolei, oddał futerał z karabinem i korzystając z okazji, że podróżny jest zajęty płaceniem robotnikom i nie zwraca na niego uwagi, wsunął się za stos skrzynek.

Podróżny szybko doszedł do porozumienia z robotnikami i rozejrzał się za chłopcem, który niósł futerał z bronią. Nie było go jednak nigdzie. Przypuszczając więc, że musiał już wyjść na pokład, mężczyzna zawołał:

— Sambo!

— Czego pan chce? — zapytał Murzyn, zaglądając do kabiny.

— Nie widziałeś tego chłopca, który przyniósł futerał z karabinem?

— A czego pan chceć od niego? — odparł pytaniem Sambo.

— Nie dałem mu nic za fatygę, a już go tu nie widzę!

— Chłopiec odejść. Pan dać Sambo, a Sambo poszukać chłopca i dać mu pieniądze.

— Dobrze, tylko pospiesz się, bo statek wkrótce odpływa.

— Sambo zdążyć, pan być spokojny!

Rzeczywiście Sambo zdążył, gdyż nie upłynęły nawet trzy minuty, a już był z powrotem i rzekł:

— Chłopiec być na pokładzie. Sambo dać mu pieniądze i powiedzieć, żeby iść do domu, bo okręt zaraz jechać.

Tomek aż się zatrząsł z oburzenia, ale, niestety, nie mógł sprostować kłamstwa. Przyrzekłszy więc w duszy zemstę Murzynowi, wczołgał się pod niskie łóżko i czekał.

Po chwili usłyszał głos podróżnego, mówiącego do Murzyna:

— Twoja kabina znajduje się po przeciwnej stronie korytarza. Musisz uważać, aby nieproszeni goście nie wchodzili do kabiny z ładunkiem.

— Sambo czuwać! Pan wiedzieć, że wierny Sambo rozplatać każdego nożem, kto chce wejść do pana kabiny.

Nie musiała to być głośna przechwałka, gdyż podróżny odparł poważnie:

— Nie, nie, Sambo, lepiej nie zabijaj nikogo, bo byłyby duże kłopoty.

— Ale pan wiedzieć, że Sambo może to zrobić!

— Wiem i dlatego mówię, żebyś dobrze pilnował ładunku.

— Pan spać spokojnie, Sambo będzie czuwać!

— Teraz idę się rozejrzeć po pokładzie — powiedział podróżny. — Tymczasem wypakuj resztę moich rzeczy.

Drzwi kabiny trzasnęły, a Sambo zaczął mrużyć pod nosem jakąś monotonną pieśń. Tomek starał się być niesłyszalny. Nie miał wcale ochoty zapoznawać się z nożem Murzyna, a przez chwilę nawet zastanawiał się, czy nie powinien zejść na ląd. Opanował jednak tę pokusę. Taka okazja mogła się już nie nadarzyć. Sambo miał mieszkać w innej kabinie, a ponieważ w tej, w której znajdowały się paki, nie należało się spodziewać niczyjej obecności, możliwość ukrycia się aż do chwili dotarcia do Europy, była dość duża.

Postanowił zaryzykować.

Po dłuższej chwili podróżny wrócił do kabiny.

— Niezbyt wielu pasażerów znajduje się na tym pudle — odezwał się, zatraskując drzwi za sobą.

— Tym lepiej dla nich! — mruknął Murzyn.

— Masz rację, Sambo! Do czarnego piekła nie ma się po co spieszyć.

Tomkowi znów zrobiło się nieswojo. Lecz co to?

W tej chwili drgnęła podłoga kabiny. Ściany zaczęły dygotać, rozległ się trzykrotny ryk syreny. Zagłuszyła ona krzyk Tomka wychodzącego spod łóżka.

Było już za późno na opuszczenie statku...

TTAAJJEEMMNNIICCAA PPAANNAA BBRROOWWNNAA

Kolejne dni podróży przynosiły pewne wyjaśnienia, lecz mimo to Tomek gubił się w domysłach. Przede wszystkim nie pomylił się, licząc, że uda mu się ukrywać w kabinie, która służyła za magazyn. Nawet groźny Sambo zaglądał do niej dość rzadko, czego — jak się później wyjaśni — nie czynił bez powodu. Podróżny natomiast wiele czasu spędzał w swej kabinie, wystukując coś na małej maszynie do pisania. Nie chodził nawet na posiłki do ogólnej jadalni, lecz kazał sobie przynosić jedzenie do kabiny. To właśnie ułatwiło Tomkowi ukrywanie się na statku, gdyż jego skromne, zabrane z domu zapasy, szybko się skończyły i musiał zdobywać pożywienie. Tajemniczy podróżny po każdym posiłku spacerował kilkanaście minut po pokładzie i w tym czasie Tomek zjadał pozostawione przez niego resztki.

Na tym właśnie tle doszło do zdarzenia, w wyniku którego groźny Sambo zaczął unikać kabiny swego pana.

Murzyn był wielkim żarłokiem i miał zwyczaj zjadać wszystko, co pozostawiał jego chlebowca. W pierwszych dniach podróży robił to bez przeszkód, ale gdy Tomkowi wyczerpały się zapasy, zaczęło się dziać coś, czego Sambo nie mógł zrozumieć.

Było to czwartego dnia po wypłynięciu z portu. Sambo, jak zwykle, pilnie

obserwował, kiedy jego chlebowdawca wyjdzie z kabiny na swój spacer po pokładzie. Gdy ujrzał przez uchylone drzwi, że już się oddala, wyszedł na korytarz i zbliżył się do kabiny. Spotkała go niespodzianka. Drzwi były zamknięte. Zdziwił się, ale wrócił do siebie. Usiadł na łóżku i zaczął myśleć. Nie mógł zrozumieć, dlaczego drzwi, zawsze do tej pory otwarte, dziś zastał zamknięte. Czyżby jego pan nagle stracił do niego zaufanie?!

Nie mógł w to uwierzyć, gdyż nie była to ich pierwsza wspólna podróż. W końcu postanowił jeszcze raz sprawdzić, bo drzwi mogły się przecież zaciąć. Wyszedł na korytarz i, o dziwo, drzwi otworzyły się bez trudności.

Wszedł do kabiny i stanął zdumiony. Talerze były doszczętnie opróżnione. W tej chwili coś stuknęło w sąsiedniej kabinie.

Sambo wy dobył z pasa długi, ostry nóż i pchnął uchylone drzwi. Przez małe okrągłe okienko sączyło się mdłe światło dzienne. Zapalił lampę elektryczną.

W kabinie nie było nikogo!

Uważnym wzrokiem obrzucił wszystkie kąty niewielkiego pokoiku i nareszcie spostrzegł przedmiot, który spowodował stuk.

W takt kołysania się statku, po podłodze przetaczała się hermetycznie zamknięta puszka i dziwnym zrządzeniem losu zatrzymała się tuż u jego stóp. Na nalepce widniała trupia czaszka z dużym napisem: „Trucizna!”.

Mimo swej odwagi dzielny Sambo, jak większość Murzynów, był zabobonny. Potoczenie się pudełka z trucizną tuż do jego stóp uznał za ostrzeżenie ze strony tajemnych mocy. Czarne, skręcone w loki włosy zjeżyły mu się na głowie. Drżąc ze strachu, wycofał się z kabiny pana Browna i uciekł do swojej.

Oczywiście nie wiedział, że mimowolny sprawca tego zajścia był jeszcze bardziej przerażony. Właśnie tego dnia wyczerpały się Tomkowi zapasy zabrane z domu. Musiał zdobyć coś do jedzenia. Usłyszawszy, że podróżny wyszedł na poobiedni spacer, wysunął się spod łóżka i zajrzał do sąsiedniej kabiny. Na stoliku stały talerze z resztkami jedzenia. Bez namysłu przekręcił zamek u drzwi, a potem zjadł wszystko do ostatniej okruszynki. Trwało to zaledwie kilka minut. Już miał wracać do swej kryjówki, gdy ktoś podszedł do drzwi.

Tomek patrzył z przerażeniem na klamkę ruszającą się pod naciskiem silnej ręki. Gdy tamten odszedł, natychmiast otworzył zatrzask i szybko wycofał się do swojej kryjówki. Wchodząc pod łóżko, potrącił nogą jedną ze

skrzyniek. Rozległ się stuk i coś zaczęło się toczyć po podłodze.

Łatwo sobie wyobrazić przerażenie Tomka, gdy niemal w tej samej chwili Sambo wkroczył do kabiny z wielkim nożem w dłoni. Zupełnie nieoczekiwanie przerażony Murzyn uciekł, nie dociekając przyczyny upadku puszki. Nie wyłączył nawet światła, przeto Tomek wyskoczył spod łóżka, włożył puszkę do skrzyni i zgasił światło.

To właśnie przechyliło szalę zwycięstwa na jego stronę. Wierny swemu panu Sambo wkrótce bowiem ochłonął ze strachu i przypomniał sobie, że zostawił zapalone światło. No i puszkę z trucizną też należało położyć na swoim miejscu, nawet gdyby złe duchy dały mu tą drogą dziwne ostrzeżenie. Ze strachem powrócił do kabiny swego pana. Stwierdził, że światło jest zgaszone, a puszka zniknęła. Przeżegnał się kilka razy, wspominał wszystkie

złe i dobre bóstwa swych przodków i postanowił nie wchodzić do kabiny pod nieobecność chlebowdawcy.

Tym sposobem Tomek zyskał możliwość poruszania się po kabinach w porach, gdy podróżny wychodził na pokład. W tym też czasie ustalił, że pan Brown (z rozmów obsługi dowiedział się, że tak się nazywa) jest zagadkowym człowiekiem. Jego ładunek stanowił zbiór najdziwniejszych przedmiotów. Oprócz kamery były tam bowiem aparaty fotograficzne, nowoczesna broń, słoiki z lekarstwami, ubrania, jakich używa się w krajach tropikalnych, żywność w hermetycznie zamkniętych puszkach, szklane koraliki oraz różnego rodzaju świecidełka i wreszcie książki naukowe.

Jedną z nich, opisującą afrykańskich Murzynów, Tomek wyciągnął z paczki. Kiedy tylko mógł, zbliżał się do bulaja i czytał. W ciągu kilku dni dowiedział się bardzo wiele o życiu Murzynów.

Czego tam nie było! Opisywano na przykład afrykańskich karłów, zwanych Pigmejami. Tomkowi zdawało się, że takich małych Murzynów nie należy się obawiać, a tu autor książki stwierdza, iż są to ludzie bardzo niebezpieczni, gdyż nasączają strzały silnymi roślinnymi truciznami. Nie podobali się Tomkowi sąsiedzi groźnych Pigmejów, ludożercy znad rzeki Kongo, polujący na czaszki ludzkie, na podobieństwo mieszkańców niektórych wysp Oceanu Indyjskiego. Inne znów plemiona miały być bardzo łagodnego usposobienia. W nocy przyśnił się Tomkowi znajomy Murzyn z Nowego Jorku jako łowca głów.

Kim więc był pan Brown, który interesował się Murzynami, miał do

swych usług Sambo, odgrążającego się ludziom nożem, i zabierający w podróż tak dziwny ładunek?!

Tomek nie mógł znaleźć odpowiedzi. Ciągłe wydawało mu się, że pan Brown jest urlopowanym żołnierzem i wraca do Europy. W każdym razie postanowił natychmiast po dopłynięciu zniknąć z oczu swych przypadkowych towarzyszy podróży. Chwilami zdawało mu się, że gdzieś już widział podobny sprzęt, w jaki zaopatrzył się pan Brown; nie mógł sobie jednak przypomnieć, gdzie i kiedy. Teraz zaczął żałować, że w szkole nie przykładał się do geografii, z której zawsze miał dwójkę. Przypominał sobie niejakiego „Stanleya”, który podróżował po egzotycznych krajach, ale nie mógł wyrzesać ze swej pamięci, jak się nazywały. Właśnie geografia i historia były tymi przedmiotami, których Tomek obawiał się najbardziej przy

promocji do następnej klasy. Obawa przed złym świadectwem skłoniła go do podjęcia tej ryzykownej podróży. „Czarne charaktery” kradnące paczki były tylko pretekstem, by uniknąć nieprzyjemności, które czekałyby na niego, gdyby nie otrzymał promocji.

Teraz doszedł do wniosku, że zabawy w kowbojów i Indian nie przysporzyły mu wiedzy, która tak by mu się w tym momencie przydała. I choć zawzięcie wczytywał się w książkę o zwyczajach i obyczajach Murzynów, nie pomogło mu to rozwikłać zagadki pana Browna, z którym związał się przypadkowo.

Pewnego dnia tajemnica częściowo się wyjaśniła.

Tego ranka pan Brown wcześniej zaczął pisać na maszynie, a wychodząc na poobiedni spacer, zostawił na stoliku kilka zapisanych kartek. Zabierając się do resztek obiadu, Tomek rzucił okiem na jedną z nich i... zapomniał o jedzeniu.

OO CCZZYYMM PPIISSAAŁŁ PPAANN BBRROOWWNN

To, co Tomek zobaczył, było dla niego zupełnie niezrozumiałe. Co mogły obchodzić pana Browna dzikie zwierzęta? Bo w notatkach znajdowały się właśnie dokładne opisy lwów, lampartów, żyraf, małp, nosorożców, hipopotamów, słoń... Było tego tak dużo, że Tomek nie był w stanie przeczytać wszystkiego za jednym razem.

Dziwnym żołnierzem był pan Brown! Interesował się na przykład, czy lew zawsze atakuje człowieka napotkanego w dżungli. Tomek czytał:

„Lew syty i nierozdrażniony nie rzuca się na ludzi. Wystarczy nie wykonywać najmniejszego ruchu, aby nie narazić się na niebezpieczeństwo”.

Tomek roześmiał się. Przecież w ogrodzie zoologicznym lwy karmiono i nie wolno było nikomu ich drażnić, a mimo to trzymano je za grubymi kratami. Na pewno pan Brown nie odważyłby się wejść do klatki lwów, choćby na śniadanie dano im słoń! Po co więc pisze historie, w które nikt nie uwierzy?!

Na innej kartce pan Brown opisywał, jak wyglądają legowiska lwów.

Dalej były obszerne opisy małpich wiosek, budowanych na drzewach i w rozpadlinach ścian skalnych.

Wszystko to bardzo zainteresowało Tomka, choć nie mógł zrozumieć, dlaczego tym sprawom pan Brown poświęca tyle czasu. W końcu natrafił na kilka kartek, których treść pochłonęła go. Był to dokładny opis wioski ludożerców. Pan Brown opisywał to w taki sposób, jakby już kiedyś widział podobną wioskę i ucztę ludożerców. To już było niedorzecznością. Tyle to i Tomek wiedział, że biały podróżny nie przyglądałby się obojętnie ludożercom pożerającym człowieka.

Roześmiał się głośno. Wszystko było jasne. Rozwiązał tajemnicę pana Browna. Przypadkowy towarzysz podróży pisał powieści. Tylko w powieściach mogli jeszcze pojawić się ludożercy i okropności, które działy się dawno temu. Tak samo przecież było z Indianami. Tomek mieszkał w Ameryce od urodzenia, a nie widział ani jednego. O ich napadach na białych ludzi czytywał tylko w powieściach o Dzikim Zachodzie.

Więc oto spotkał człowieka, który pisał książki! Nieraz zastanawiał się, w jaki sposób pisana jest powieść. Teraz już wiedział: pan Brown siadał sobie

przy maszynie i wystukiwał zdania! Z uznaniem pomyślał o wysokim podróżnym. Zastanawiał się tylko, w jaki sposób pan Brown znajduje czas na pisanie, pełniąc służbę wojskową. Bo że był żołnierzem, nie budziło wątpliwości. Tomek widział już wielu żołnierzy i znał sposób ich życia. Wygląd i zachowanie pana Browna były typowe dla wojskowego, a gdy przemawiał do obsługi czy Sambo, miało się wrażenie, że wydaje rozkazy swym podwładnym, jak generał.

Tak rozmyślając Tomek przewracał kartki. W korytarzu rozległy się kroki pana Browna, gdy wzrok chłopca padł na list wsunięty między kartki maszynopisu.

„Postanowiliśmy przyjąć pański projekt. Prosimy, by przybył Pan do naszego biura w celu uzgodnienia kosztorysu” — przeczytał. Zdążył jeszcze zauważyć u góry: „Muzeum Historii Naturalnej”, ale nie miał już czasu na czytanie reszty listu. Pan Brown był pod drzwiami.

Tomek ledwo zdołał otworzyć zamek i zniknąć w swej kryjówce, gdy pan Brown wszedł do kabiny. Nie upłynęły nawet trzy minuty, a drzwi ponownie się otwały i Tomek usłyszał jego głos:

— Sambo!

Po chwili Murzyn zapytał:

— Pan mnie wołać?

— Tak, wejź. Dlaczego przeglądałeś moje papiery?!

— Sambo nie przeglądać pana papierów.

— Tak? A jednak wszystko jest poprzewracane!

Tomek słyszał tę rozmowę i zrozumiał, że to on jest sprawcą nieporządku. W pośpiechu zapomniał odłożyć papiery na miejsce. Nie miał jednak nic przeciwko temu, aby jego wina spadła na Sambo. Pamiętał o jego chciwości i kłamstwie. Przecież Sambo oszukał swego pana, przywłaszczając sobie napiwek.

Widocznie pan Brown znał wady służącego, gdyż rzekł surowym tonem:

— Obżarstwo i łakomstwo zgubią cię, Sambo. Jeśli musisz, zjadaj resztki mojego obiadu, ale nie grzeb w papierach leżących na biurku.

— Sambo nie grzebać w papierach i dawno już nie zjadać resztek.

Sambo nie lubić tu przychodzić od czasu, jak widzieć duchy.

— Jakie znów duchy?

— Sambo widzieć duchy.

— Idź już i nie pleć głupstw, a na przyszłość pamiętaj, aby nie ruszać niczego na biurku.

Sambo odszedł, a pan Brown, przekonany o jego winie nie usiłował dalej badać, kto był sprawcą nieporządku. W ten sposób słabostki Sambo ocaliły Tomka.

ZZNNIIKKNNIIĘĆCIIEE PPAANNAA BBRROOWWNNA

Następne dni podróży były dla Tomka bardzo męczące. Rzadko mógł opuszczać swoją kryjówkę, gdyż pan Brown coraz więcej czasu poświęcał pisaniu na maszynie. Toteż chociaż chłopiec wciągnął pod łóżko dwie poduszki, bolał go każdy miesiąc, a kości domagały się rozprostowania. Pozbawiony ruchu stracił zupełnie apetyt i w końcu marzył już tylko o świeżym powietrzu. Często bolała go głowa i zbierało mu się na mdłości. Tomek nie wiedział o chorobie morskiej, więc wydawało mu się, że przyczyną jest niewygodna i brak powietrza. Tymczasem podróż dłużyła się w nieskończoność.

Niewiele już mu brakowało do całkowitego wyczerpania. Bywały chwile, że miał zamiar zrezygnować z ukrywania się. Na szczęście pojawiły się sygnały wróżące koniec podróży.

Mianowicie pan Brown zainteresował się swoim bagażem. Przez kilka godzin segregował paczki. Wydobył lśniący rewolwer i karabin i czyścił je. Potem, ku ogromnemu zdziwieniu obserwującego go spod łóżka Tomka, zdjął swe podróżne ubranie i założył tylko krótkie, jasne spodnie i koszulę.

Tomek nigdy jeszcze nie widział dorosłego mężczyzny w takim stroju. Uważał, że był nieodpowiedni nie tylko dla mężczyzny, ale nawet dla

dorastającego chłopca. W duszy jednak przyznawał słuszność panu Brownowi. Na statku było gorąco i duszno. Gdy pan Brown otworzył małe okienko kabiny, do wnętrza nie wpadł nawet najmniejszy podmuch świeżego powietrza.

Pewnego ranka pan Brown zawezwał Sambo i zaczął z nim rozmawiać w nieznanym Tomkowi języku. Olbrzymi Murzyn ubrany był w taki sam strój jak jego pan.

— Sambo dobrze dopilnować wyładunku bagażu — zakończył Murzyn rozmowę po angielsku. — Tylko czy my już na pewno jutro dołyną?

— Na pewno, około dziesiątej rano powinniśmy być na miejscu. Pamiętaj, że będziemy się spieszyli, więc trzeba wszystkiego dopilnować.

— Sambo dobrze pilnować, ani jedna paczka nie zginąć!

Tomkowi zrobiło się jeszcze bardziej gorąco. Co by to było, gdyby Sambo nie zakończył rozmowy w zrozumiałym dla niego języku?! Przecież

tylko dzięki temu miał czas na zastanowienie się, w jaki sposób ma się wydostać. Gdyby pan Brown wysiadł, nie mógłby się już dłużej ukrywać.

Zaczął się więc zastanawiać, w jaki sposób ma opuścić statek. Nie, nie mógł zejść na ląd udając tragarza.

Długo myślał, a kiedy pan Brown udał się na swój wieczorny spacer, wyszedł spod łóżka.

W pobliżu drzwi stało kilka skrzyń, których cienkie pokrywy były zamykane na skoble przetykane klinami. Otworzył jedną z nich, stojącą w środku. Znajdowały się w niej hermetycznie zamykane, blaszane puszki.

— Co z nimi zrobić? — mruknął.

Jeszcze raz uważnie obejrzał kabinę i wzrok jego zatrzymał się na łóżku, pod którym tyle dni udało mu się ukrywać.

Zdjął z łóżka pościel i materac. Po kilku minutach łóżko było z powrotem zaślane; nikt by nie poznał, że znajdowało się w nim kilkanaście puszek.

Tej nocy Tomek spał niewiele. Obawiał się, że zaśpi i nie zdąży schować się do opróżnionej skrzyni. Gdy tylko pierwsze promienie słoneczne zajrzały przez okienko do kabiny, bez namysłu wysunął się spod łóżka i wszedł do przygotowanej kryjówki. Oczywiście nie mógł zamknąć skobla. Musiał zaryzykować.

Długo trwał w niewygodnej pozycji, co dawało mu się mocno we znaki.

Nagle na statku zaszła jakaś zmiana. W pierwszej chwili Tomek nie rozumiał, co się stało, potem jednak zorientował się, że przestały pracować maszyny. Zrobiło się cicho — ściany i podłoga kabiny nie drżały już rytmem pracujących silników.

Nie żałował, że tak długo męczył się w niewygodnej skrzyni. Załedwie zdał sobie sprawę, że statek się zatrzymał, do kabiny wbiegło kilku ludzi i zaczęli wynosić bagaże.

Były to trudne chwile dla Tomka.

Czyjeś dłonie uniosły „jego” skrzynię. Nagle rozległ się głos pana Browna:

— Ostrożnie! Stójcie! Czy nie widzicie, że klin wypadł ze skobla?

Tomkowi zdawało się, że chyba wszyscy słyszą bicie jego serca. Miał jednak szczęście, gdyż pan Brown podniósł tylko klin z podłogi i zamknął skobel.

Tomek był uwięziony w skrzyni...

Nie miał w tej chwili czasu na zastanawianie się, w jaki sposób wydostanie się na wolność. Ostre światło i gorące powietrze przedostały się przez niezbyt szczelne deski skrzyni. Domyślił się, że wyniesiono go na pokład.

— Czy w Polsce też będzie tak gorąco, jak na wybrzeżu Europy? — pomyślał.

Teraz wzięto się do obwiązywania skrzyni sznurami i spuszczo ją w dół. Potem widocznie przytłoczono ją innymi pakunkami, gdyż zrobiło się w niej zupełnie ciemno i jeszcze duszniej. Usłyszał plusk wody. Jak się domyślał, płynęli łodzią.

W górę — w dół — w górę — w dół! Łódź opadała i wznosiła się bez przerwy. Fala musiała być duża, bo łódź mocno się kołysała. Tomkowi zrobiło się niedobrze. Zemdlął.

Gdy odzyskał przytomność, skrzynia stała już spokojnie. Nie było już tak duszno i zaraz przypomniał sobie ostatnie przejścia.

— Widocznie jesteśmy już w porcie — pomyślał.

Postanowił jak najszybciej uwolnić się od kłopotliwego towarzystwa pana Browna oraz groźnego Sambo. Sprawdzi tylko, co się dzieje z paczką wysianą przez rodziców do Polski, a potem ruszy w drogę powrotną. Nie miał już jakoś ochoty dalej towarzyszyć paczce. Po raz pierwszy przez tak długi czas znajdował się z dala od rodziców i rodzeństwa. Było mu smutno i tęskno.

Wiedział, że i oni niepokoją się o niego.

Najpierw jednak trzeba było wydostać się ze skrzyni. Zaparł się mocno nogami o dno, i z całej siły naciskał ramionami na wieko. I choć strach dodawał mu siłę, długo się męczył, zanim puściło. Miał szczęście — deski były cienkie i suche, Tomek wyprostował się i usiadł. W pomieszczeniu, w którym znajdowały się prawie wszystkie skrzynie podróżnego, panował półmrok. Dach okrągłej izby przypominał kopułę. Stanowiły go liście pokryte trawą. Podłoga była zrobiona z pni drzew. Dwa otwory, jakby okna, umieszczone naprzeciw siebie, zakryte były matami, sporządzonymi z roślinnych włókien. Również wyjście z chaty było zasłonięte grubą matą.

Tomek wyszedł ze skrzyni i odetchnął głęboko. W izbie unosił się jakiś dziwny zapach. Zauważył, że podłogę pokrywa cienka warstwa jasnego proszku. Dopiero później dowiedział się, że odstraszał on robactwo.

Tomek wydobył swój tobołek ze skrzyni. Włożył marynarkę i przerzucił pasek teczki przez ramię. Przypuszczał, że znajduje się w jakimś magazynie portowym.

— Trzeba się stąd wydostać — postanowił i ostrożnie podszedł do maty zakrywającej wyjście.

Zanim jednak zdążył ją uchylić, rozległ się jakiś chóralny, monotony śpiew.

— Co to? — mruknął zdziwiony, uchylając maty. Zdrętwiał ze strachu.

Podłoga domku znajdowała się około metra nad ziemią. U stóp prymitywnej drabinki siedział Sambo ze swym groźnym nożem za pasem, łapczywie zjadając dużą, gotowaną kurę. Wokoło, w pewnej odległości od chatki–magazynu, rozsianych było wiele podobnych, z tą tylko różnicą, że zbudowano je bezpośrednio na ziemi, podczas gdy magazyn stał na palach. Przed domkami wylegiwali się półnaczy Murzyni. Za domkami widać było ścianę zielonego, bujnego lasu.

— Co to jest?! — szepnął, gdy minął pierwszy strach.

Czyżby tak miała wyglądać Europa?! Pamiętał ze szkoły, że w Europie mieszkają biali. Zastanawiał się chwilę, a potem ogarnął go jeszcze większy strach. Przypomniał sobie powieść pana Browna. Czyżby odbyli podróż z Nowego Jorku do Afryki? Znaczyłoby to, że znajduje się teraz wśród dzikich Murzynów, może nawet ludożerców! Na samą myśl o tym lzy zakręciły mu

się w oczach.

— Nie, nie jestem sam, przecież tutaj musi być także pan Brown!

Kimkolwiek jest, nie pozwoli, aby mnie spotkała krzywda — pomyślał.

Jednak pana Browna nigdzie nie było widać. Tomek zaczął intensywnie myśleć, szukając ratunku i nagle przypomniał sobie statek. Skoczył do okna i uchylił matę.

O jakieś dwieście metrów od chatki ciemnozielone fale morza przewalały się po płaskim, piaszczystym wybrzeżu. W dali majaczyła ciemna sylwetka statku, nie większego z tej odległości od pudełka zapalek. Ciągnęła się za nim czarna smuga dymu.

Statek odpływał i nie było sposobu, by zawrócić go z drogi.

Siły opuściły Tomka; musiał usiąść na jednej ze skrzyń, aby nie upaść na podłogę. Czuł się tak, jakby za chwilę miał być zjedzony przez ludożerców.

Wokół było pełno dzikich ludzi, a przed domem siedział groźny Sambo i

pożerał kurę. A on, Tomek, był śmiertelnie głodny i zmęczony. Teraz przypomniał sobie, że w bagażu pana Browna znajdowało się dużo żywności. Zaczął szperać w pakach i znalazł konserwy i suchary.

Wkrótce poczuł się raźniej. Wstąpiła w niego nadzieja. Przecież jeśli ładunek pana Browna znajdował się w wiosce murzyńskiej, to i on sam musiał być gdzieś w pobliżu. Murzyni nie mogli go zabić, gdyż wtedy nie żyłby i Sambo.

Gryząc suchary, Tomek zaczął układać plan działania. Myślał, myślał, aż zasnął. Był to skutek obfitej uczyty po długim poście.

Zbudziło go głucho dudnienie i wrzaski. Zerwał się na równe nogi.

W chacie panowała ciemność. Poprzez matę przedzierały się czerwone odbłaski. Potykając się o skrzynie, podbiegi do drzwi.

Na placu między chatami paliło się wielkie ognisko, nad którym wisiał dymiący parą kocioł. Wokół ogniska Murzyni wykonywali skoki, które przypomniały Tomkowi taniec Indian przy palu męczeńskim, widziany na filmach.

Pana Browna ani nawet Sambo nigdzie nie było.

— Ludożercy! W kotle gotuje się... — pomyślał Tomek i kolejny raz od chwili znalezienia się na obcej ziemi ogarnęło go przerażenie.

Murzyni musieli zabić pana Browna, a Sambo na pewno jest zdrajcą, o ile także nie zginął. Wobec tego pozostał sam wśród zgrai dzikich ludzi!

Monotonny śpiew urywał się i znów rozbrzmiewał z dawną siłą. W takt wybijany dłońmi na małych bębnach, kręciły się wokół ogniska czarne postacie...

Ludożercy!

Nie ma wątpliwości, że on sam jeszcze żyje, ale czy długo będzie bezpieczny w tej chacie? Kiedy łakomi Murzyni zjedzą gotującego się w wielkim kotle pana Browna, na pewno dobiorą się do pozostawionych przez niego zapasów, a wtedy znajdą i jego.

Tomek usiadł na podłodze i oparł się o ścianę. By się ratować, musiał coś wymyślić. Długo się zastanawiał, a gdy w końcu ułożył plan działania, zasnął ze złośliwym uśmiechem na ustach.

CCZZEEGGOO PPRRZZEESSTTRRAASSZZYLLII SSIIĘĘ

LLUUDDOOŹŻEERRCCYY

Tomek otworzył oczy. Po cichu poczołgał się do maty zasłaniającej
otwór. Olbrzymi Sambo, wyciągnięty pod niską palmą, spał, chrapiąc głośno.
Obok niego leżało kilka dużych, obgryzionych kości.

A więc jednak Sambo żył! Mimo to Tomek drgnął na jego widok.

— Ludożerca! Zjadł własnego pana! — mruknął.

Inni Murzyni także byli pogrążeni we śnie. Leżeli przed swymi chatami
bądź pod drzewami. Jedynie murzyńskie dzieci ze śmiesznie dużymi i
wzdętymi brzuskami, goniły się z psami wśród chat. W dali widać było
Murzynki pracujące w polu.

Mimo swego niebezpiecznego położenia Tomek poczuł głód. Nie
namyślając się długo, znów dobrał się do zapasów pana Browna. Skoro pan
Brown już nie żył, nie było sensu zostawiać dzikim tyłu rzeczy. Dopiero
zaspokoiwszy głód zabrał się do wykonania obmyślonego w nocy planu.

Długo szperał w skrzyniach i pakunkach, aż w końcu znalazł wszystko,
co było mu potrzebne, a więc karabin, rewolwer, olbrzymi nóż i pudełko

czarnej pasty do butów. Znalazł także naboje do rewolweru, natomiast nie mógł znaleźć kul karabinowych. Był niepokieszony, gdyż z wiatrówki, którą otrzymał od ojca, strzelał bardzo celnie,

podczas gdy z rewolwerem nie umiał się obchodzić. Postanowił jednak wziąć i karabin, gdyż wydawało mu się, że będzie z nim wyglądał groźniej. Na koniec wysmarował sobie grubo pastą twarz i ręce.

Nadeszła chwila działania. Ze strachu zaschło mu w gardle, ręce drżały, ale wiedział, że nie może liczyć na niczyją pomoc. Odetchnąwszy głęboko, skoczył w matę zasłaniającą wyjście.

Trzask pękających szczelbi prymitywnej drabinki obudził śpiącego Sambo. Oczom jego przedstawił się dziwny widok: zerwana z drzwi magazynu mata, zwinięta w niezwykły kształt, toczyła się po szczelkach drabinki, łamiących się z suchym trzaskiem.

Wyglądało na to, że ktoś dobrał się do magazynu. Toteż Sambo ryknął potężnym głosem i jednym susem zerwał się na równe nogi. Wyciągnął zza pasa swój długi, ciężki nóż i ruszył ku intruzowi.

Ale zaraz zatrzymał się zdziwiony, bo oto trzasnęła ostatni szczebel drabiny i mata upadła na ziemię. Najpierw wyrzuciła z niej lufa karabinu. Za karabinem ukazała się głowa. Sambo cofnął się o trzy kroki.

Bo skądże na tym świecie mogła wziąć się głowa o czerwonych włosach, błyszczącej, czarnej twarzy i... białych uszach?!

Tymczasem ze zwojów maty wygrzebało się wysokie, chude straszidło, wykonując lufą karabinu nieskoordynowane ruchy. Zza pasa wyglądała mu rękojeść noża i kolba olbrzymiego rewolweru.

— Do ziemi, skierować lufę do ziemi! — wrzasnął Sambo, widząc, że lufa karabinu wykonuje niebezpieczne ewolucje na wysokości jego brzucha.

— Nędzny zdrajco! — odparło straszycło. — Czyż nie poznajesz ducha swego pana?

— Jakiego ducha? — zdziwił się Sambo i nadstawił uszu, gdyż jak większość Murzynów lubował się we wszelkich niesamowitych historiach.

— Jestem duchem pana Browna, zjedzonego przez zdrazieckich Murzynów — odparło straszycło. — A ty, Sambo, jesteś z nich najgorszy!

— Pan Brown być zjedzony przez Murzynów? Ja być najgorszy? Duchu mego pana, co ty mówić!

— A czyje to kości, obgryzione przez ciebie, leżą u twych stóp?

Sambo poszarzał na twarzy i obydwoma rękoma chwycił się za brzuch.

— To być nieprawda, to być nieprawda — bełkotał i widać było, że robi mu się słabo.

— Nieprawda? — krzyknęło straszdyło. — Gdzie wobec tego jest pan Brown? Ha, źle ci się robi ze strachu! Teraz zemszczę się i pożrę was wszystkich. Dalej, rozpalać ognisko i dawać kocioł!

Mówiąc to, wy dobył z pasa rewolwer i przymknąwszy oczy nacisnął cyngiel.

Rozległ się huk. Silne szarpnięcie rzuciło go na ziemię. Gdy ochłonął i otworzył oczy, ujrzał już tylko plecy uciekających Murzynów. Jeszcze raz zamknął oczy i nacisnął spust. Poszło lepiej, gdyż leżąc już na ziemi, nie mógł się przewrócić, a Murzynom jakby wyrosły skrzydła. Uciekali w dżunglę, ciągnąc za sobą dzieci i psy wystraszone strzałami. Po chwili, oprócz kur grzebiących w ziemi w poszukiwaniu robaków, nie było w wiosce żywego ducha.

— Zdobyłem wioskę! — krzyknął Tomek.

Zrazu nie mógł uwierzyć, że naprawdę wszyscy Murzyni uciekli.

Zachowując więc ostrożność, chodził od chaty do chaty, ale ze wszystkich kątów wiało pustką. W końcu zatrzymał się przed chatą większą niż inne. Na dwóch żerdziach, zatkniętych w ziemi przed wejściem, wisały czaszki zwierzęce, przystrojone kawałkami skór i pomalowane czarną farbą. Tomek podszedł do samego wejścia. W otworze ukazał się stary, przygarbiony Murzyn. Nosił, tak jak inni mieszkańcy wioski, przepaskę na biodrach, lecz na ramiona narzuconą miał żółtą zwierzęcą skórę. W ręku trzymał jakąś wielką grzechotkę, którą potrząsał, patrząc na Tomka. Gdy poruszał rękoma, chrzęściły sznury koralu, pazurów i kłów zwierzęcych zawieszonych na

piersiach.

Tomek podniósł karabin, lecz stary Murzyn odezwał się lichą angielszczyzną:

— Schować ten grzmiący kij! Czarownik plemienia Nfumba nie zrobić krzywdy białemu chłopcu.

— A kto zjadł pana Browna? — odparł Tomek, nie zniżając lufy karabinu. — Wy podli ludożercy! Jestem duchem pana Browna, którego wczoraj ugotowaliście. Uciekaj, jeśli chcesz zachować swe nędzne życie!

Murzyn potrząsnął grzechotką, rzucając jakieś zaklęcia, zakreślił przed sobą drugą ręką koło w powietrzu i cofnął się do chaty.

Tomek był oburzony odwagą starego, ale po namyśle ruszył na dalszy obchód wioski.

Wałęsając się przez cały dzień po pustej wsi, widział w oddalonej o kilkaset metrów dżungli gromadki Murzynów, kryjących się za drzewami i obserwujących wszystko, co robił. Jednak żaden z nich nie ośmielił się wrócić.

Noc spędził w magazynie, budząc się co chwila, gdyż wydawało mu się, że słyszy kroki skradających się Murzynów. Było to zapewne złudzenie, gdyż rano wioska była nadal wyludniona. Gdy nadeszło południe, a nikt się nie zjawił, postanowił odszukać Sambo, aby się dowiedzieć, w jaki sposób mógłby wrócić do Nowego Jorku. Widział w dżungli kryjących się Murzynów, kiedy jednak próbował zbliżyć się do nich, natychmiast uciekali. Nie pomogły nawoływania, wioska pozostała nadal wyludniona.

Około południa dżungla ożywiła się. Co pewien czas rozlegało się głucho dudnienie, przypominające bicie w wielki bęben. Odgłosy te zaniepokoiły Tomka, ale drugi dzień spędzony w samotności zmęczył go jeszcze bardziej niż obawa przed ludożercami.

Zbliżał się wieczór. Słońce dotykało spokojnej dzisiaj tafli morza. Tomek wiedział, że wieczór nastąpi nagle, niepoprzedzony zmierzchem. Taki to był jakiś dziwny kraj, że noc zapadała tuż po zachodzie słońca, by po kilku godzinach, jak za uderzeniem czarodziejskiej różdżki, zmienić się w gorący, słoneczny dzień.

Bicie w bęben wzmogło się wieczorem, a Tomek siedział na głównym placu wioski, cicho popłakując. Wyruszył do Europy, a wylądował w jakimś nieznanym kraju, wśród ludożerców. Zniknięcie jedyne białego człowieka i

samotność przepełniły czarę goryczy. Popłakiwał, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Gorące łzy żłobiły białe ścieżki na twarzy pomalowanej czarną pastą.

Nagle drgnął. Jedną ręką otarł łzy, a drugą sięgnął po rewolwer. Murzyni wyszli z lasu i szeroką lawą ruszyli ku wiosce.

Krzyczeli i żywo machali rękoma. Tomek nie dowierzał własnym oczom: na przedzie szedł jakiś wysoki, chudy, biały mężczyzna.

— Pan Brown! — krzyknął Tomek i pobiegł na spotkanie.

II CCOO DDAALLEEJJ MMAAŁŁYY LLUUDDOOŹŻEERRCCOO??

Pan Brown zatrzymał się i parsknął śmiechem. Murzyni kryli się za plecami białego, a ten śmiał się głośno, gdy oświadczyli mu, że jego duch wygnał ich z wioski. Tymczasem „duchem” okazał się cudacznie wymalowany chłopiec.

Istotnie, wygląd Tomka mógł każdego rozweselić, zwłaszcza twarz, pokryta czarnymi plamami, w których łyzy zrobiły białe smugi.

Tymczasem Tomek podbiegi do pana Browna i objął go mocno.

— To pana nie zjedli ludożercy? — pytał bez przerwy, nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

— A kto ci powiedział, że mnie zjedli? — odparł pytaniem pan Brown.

— Nikt, tylko to tak wyglądało, gdy pan zniknął po zejściu na ląd — powiedział Tomek.

— Gdzie widziałeś ludożerców?

— O! Ci straszni Murzyni! — wskazał ręką na otaczający ich krąg

czarnych postaci.

— Nie słyszałem, żeby oni byli ludożercami — odparł pan Brown, lecz uważnie powiódł wzrokiem po pomrukujących ze zdziwienia Murzynach.

— Tak, bo pan nie wie, co tu się działo!

— A co tu się działo?

Tomek opowiedział wszystko, co widział. Pan Brown słuchał uważnie, po czym odwrócił się i rzekł:

— Chodź no tu, Sambo, i powiedz, co się gotowało w tym dużym kotle?

— Dużo, dużo mięsa małp, które pan zabić, zanim iść do dżungli — odpowiedział markotnym głosem Sambo, wystąpiwszy z gromady czarnych, wśród których się chował.

— Jesteś tego pewny?

— Tak, Sambo też jeść. To ten duch powiedziec, że my jeść pana Browna i Sambo zrobić się źle, bardzo źle, bo Sambo nie lubić takiego mięsa. Sambo powiedziec o tym Nfumba, a oni wszyscy chorować. Mięso białego być niedobre.

— Pomyliłeś się, mój chłopcze — rzeki pan Brown do Tomka. — Ci Murzyni nigdy nie byli ludożercami. To ty ich przestraszyłeś, mówiąc, że jesteś ludożercą.

— Och! — Tomek nie mógł z siebie wydobyć ani słowa.

— Ale, mój kochany, powiedz mi, skąd się wziąłeś w dżungli? — zapytał pan Brown.

— Och! — westchnął Tomek po raz drugi, a pan Brown widząc, że chłopiec jest wyczerpany i wystraszony, powiedział:

— Zresztą zjedźmy najpierw kolację, a potem opowiesz mi wszystko.

Tomek zgodził się na to chętnie, ale pan Brown długo musiał tłumaczyć Murzynom, że nie mają się czego obawiać. Dopiero gdy dobrze przyjrzeni się Tomkowi, ruszyli tłumnie do swych chat.

Minęła godzina. Zjedzono obfitą kolację. Murzyni znów śpiewali i tańczyli, a Tomek, zjadając jakiś smaczny owoc, zaczął mówić. Pan Brown w skupieniu wysłuchał jego opowieści.

— Więc chciałeś się dostać do Polski, a tymczasem przyjechałeś do Afryki — odezwał się, gdy Tomek opowiedział mu swe przygody. — I cóż masz zamiar robić dalej, mój mały ludożerco?

— Chciałbym wrócić do domu, proszę pana — odparł Tomek nieśmiało.

— Ale w jaki sposób? W najbliższym czasie nie odpływa stąd żaden statek. Jedno, co mógłbym zrobić, to nająć Murzynów, którzy by cię odprowadzili do jakiegoś portu, ale kto wie, kiedy stamtąd odpływa statek w kierunku Nowego Jorku. Znajdujemy się na niezbyt uczęszczanym szlaku.

— Niech mnie pan nie zostawia z tymi Murzynami!

— zawołał Tomek, chwytając pana Browna za rękę.

— Narobiłeś mi wiele kłopotu. Bałbym się zostawić cię tutaj aż do mego powrotu i wydaje mi się, że nie powinienem odsyłać cię samego do jakiegoś portu. A zabrać cię na wyprawę w głąb lądu... nie! Nie mogę.

— Och! — westchnął znowu Tomek, a pan Brown zamyślił się.

Po długiej chwili milczenia zapytał:

— Czy bardzo boisz się Murzynów i dzikich zwierząt?

— Nie, przy panu wcale się ich nie boję.

— Mój ojciec był podróżnikiem. Mając dwanaście lat towarzyszyłem mu już we wszystkich wyprawach. Gdybyś był moim synem, wiedziałbym, co

z tobą zrobić. Jednak twoi rodzice na pewno bardzo się martwią, nie wiedząc, co się stało. Jak mogłeś tak niemądrze postąpić?

Tomek przyznał, że postąpił bardzo źle, a miał tak smutną minę, że panu Brownowi zrobiło się go żal. Nastraszenie Murzynów ubawiło podróżnika i miał ochotę zabrać chłopca ze sobą. Znajdowali się w Afryce Równikowej, oddaleni o kilkadziesiąt mil od większego miasta portowego. Pan Brown chciał wylądować jak najbliżej swego obozowiska, które założył wysłany wcześniej pomocnik. Nakłonienie kapitana statku do zatrzymania się w tym miejscu kosztowało go też sporo zachodu i pieniędzy.

Cóż więc miał począć z Tomkiem? Za kilka dni rozpoczynały się wakacje w szkołach amerykańskich i nie było możliwości, aby chłopiec dostał się do Ameryki przed końcem roku szkolnego. Jeśli już tak fatalnie się złożyło, że znalazł się w Afryce, można mu było pozwolić spędzić wakacje na Czarnym Lądzie.

Rozważywszy to wszystko, pan Brown powiedział:

— Przypuszczam, że nie orientujesz się, po co przyjechałem do Afryki.

— Wiem — zawołał Tomek. — Pan pisze książki!

— Skąd nabrałeś takiego przekonania?

— Czytałem kilka kartek pańskiej książki na statku.

— Widzę, że nie jesteś zbyt dyskretny, skoro grzebiesz w cudzych rzeczach.

— Wcale nie miałem zamiaru czytać. Wszedłem do pańskiej kabiny, aby, jak zwykle, zjeść resztki obiadu i rzuciłem tylko okiem na papier na maszynie. Tak mnie zaciekawiło, że przejrzałem wszystko, co leżało na stole.

— Więc dlatego pomyślałeś, że pisuję książki — uśmiechnął się pan Brown. — Nie jestem jednak powieściopisarzem, chociaż wydałem pamiętniki z mych podróży po Afryce. Jestem podróżnikiem, mój Tomku, a jednocześnie trudnię się łowieniem dzikich zwierząt do cyrków i ogrodów zoologicznych. Tym razem przyjechałem do Afryki, by wykonać zamówienie Muzeum Historii Naturalnej w Nowym Jorku. Zarząd muzeum rozpiął konkurs na urządzenie pawilonu odzwierciedlającego afrykańską florę i faunę. Wybrano mój projekt, którego fragmenty wzięłeś za powieść. Właśnie przyjechałem zebrać materiały potrzebne do realizacji projektu. O dwa dni marszu stąd oczekuje mnie mój pomocnik, Tom Nick, którego wysiałem wcześniej z Ameryki, aby zorganizował wyprawę. Muszę się bardzo spieszyć,

aby wykonać wszystko przed nastaniem pory deszczowej. Dlatego też nie mogę osobiście zająć się wysianiem ciebie z powrotem do domu.

— To niech mnie pan zabierze ze sobą na tę wyprawę!

— zawołał Tomek. — Ja bym tak chciał zobaczyć, jak się łapie dzikie zwierzęta.

— A co na to powiedzą twoi rodzice?

— Przecież przy panu nic mi się nie stanie.

— Udaję się w dzikie okolice, a praca nasza nie jest zbyt bezpieczna. Co do ciebie, sądząc po twojej ucieczce z domu, myślę, że nie jesteś zbyt posłuszny. Przez lekkomyślność możesz narazić nie tylko siebie, ale i innych członków wyprawy na niebezpieczeństwo.

— Gdyby pan mnie zabrał, byłbym bardzo posłuszny!

Pan Brown uśmiechnął się, słysząc te gorące zapewnienia. Wesoły wzrok Tomka wróżył niejedną niespodziankę. Mimo to nie było innego wyjścia i podróżnik zdecydował się zabrać go ze sobą.

— Okoliczności sprawiają, że muszę ci uwierzyć — odezwał się. — Będziesz mógł wziąć udział w mojej wyprawie, ale przyrzeknij mi, że po powrocie do domu weźmiesz się porządnie do nauki i będziesz słuchał rodziców.

— Przyrzekam! — prędko zawołał Tomek.

— Wobec tego musimy jakoś zawiadomić twoich rodziców. Napiszę list i depeszę, a jutro rano pošemy z nimi jednego z Murzynów do miasta.

Tomka ogarnęła tak wielka radość, że omal nie rzucił się na szyję panu Brownowi. Rzecz jasna, przyrzekł sobie, iż będzie wzorem posłuszeństwa i w ogóle wszelkich cnót, jakich można się domagać od chłopca w jego wieku. Jak się z tego przyrzeczenia wywiązał, zobaczymy.

WWYYPPRRAAWWAA

Zaledwie duża, pomarańczowa kula słoneczna ukazała się na horyzoncie, karawana pana Browna zagłębiła się w mrocznym lesie. Za idącym na przodzie Sambo kroczyło gęsiego dwudziestu rosnących Murzynów, niosąc na głowach ładunek przywieziony przez białego podróżnika. On sam, mając przy sobie Tomka, zamykał pochód.

Przed wyruszeniem z wioski odczytał Tomkowi list napisany do jego rodziców i polecił mu, aby dopisał od siebie kilka słów. Ponieważ podróżnik wyjaśnił całą rzecz w liście, Tomek przeprosił tylko rodziców za przysporzone im zmartwienie, obiecując solennie, że nie będzie więcej podobnych wybryków. Gdy karawana opuszczała wioskę, zaufany Murzyn wyruszył z listem do odległego miasta na południu.

Teraz, idąc obok podróżnika, Tomek słuchał z zainteresowaniem jego wyjaśnień dotyczących wyprawy.

— Na pewno jesteś ciekawy, w jakim celu wyruszyłem na wyprawę do Afryki — mówił pan Brown. — Muszę ci to wytłumaczyć, żebyś zrozumiał wszystko, co się będzie działo. Czy byłeś już w Muzeum Historii Naturalnej w Nowym Jorku?

— O tak! W każdą niedzielę rodzice zabierali mnie i rodzeństwo albo do ogrodu zoologicznego, albo do muzeów lub parków — odparł Tomek.

— Wobec tego widziałeś zbiory zgromadzone w muzeum — ciągnął dalej pan Brown. — Na pewno zauważyłeś, że są tam całe sale poświęcone życiu ludzi i zwierząt w różnych epokach. Widziałeś eksponaty z różnych okresów historii Ameryki. Jestem pewny, że przede wszystkim ciekawiły cię tam oryginalne zbiory, ukazujące sposób życia, broń, łodzie i malownicze stroje Indian.

— Ach, tak! Zawsze prosiliśmy rodziców, żeby nas zaprowadzili do tej sali — rzekł Tomek. — Tak samo lubiliśmy odwiedzać salę, w której stał cały hufiec konnych rycerzy zakutych w żelazo!

— A czy nie ciekawiły cię grobowce egipskie?

— Tak! Tylko jakoś nie mogę uwierzyć, żeby w muzeum w Nowym Jorku leżeli pod szkłem ludzie, którzy umarli przed tysiącami lat. Te grobowce na pewno zostały zbudowane w muzeum!

— Mylisz się, Tomku. Grobowce wraz z mumiami zostały wykopane w Egipcie, skąd przewieziono je do Nowego Jorku. To prawdziwi ludzie, zmarli przed tysiącami lat i zabalsamowani, leżą w muzeum w Nowym Jorku. Jak widzisz, zgromadzone są tam eksponaty z różnych okresów istnienia świata. Przed kilkoma miesiącami rozpisano konkurs na urządzenie afrykańskiego pawilonu. Wybrano mój projekt.

— A ja, czytając go ukradkiem na statku, myślałem, że to powieść — odezwał się Tomek. — Taki ciekawy! Wydawało mi się, że widzę dzikie zwierzęta i ich legowiska.

— Mój projekt przewiduje urządzenie pawilonu afrykańskiego w taki sposób, aby zwiedzającym wydawało się, że znajdują się w Afryce. Będą tam odtworzone charakterystyczne fragmenty dżungli i stepu wraz ze zwierzyną, która je zamieszkuje.

— To my mamy zdobyć te zwierzęta dla muzeum! — zawołał Tomek, zadowolony, że udało mu się zrozumieć cel wyprawy.

— Tak. Będziemy polowali na zwierzęta potrzebne do urządzenia pawilonu. Kilkunastu Murzynów, specjalistów od zdejmowania skór ze zwierząt, czeka na nas z moim pomocnikiem. Odpowiednio sporządzone manekiny zostaną obciążone prawdziwymi skórami, co pozwoli odtworzyć plastycznie życie dżungli. Zdejmowanie skór nie jest rzeczą łatwą i wymaga wprawy, gdyż nawet lekkie uszkodzenie podczas tej czynności czyni je niezdatnymi do użytku. Musimy też zrobić dużo zdjęć z życia zwierząt.

— Czy pański pomocnik wie już o naszym przyjeździe?

— Przypuszczam, że tak. Afryka jest zbyt plotkarskim krajem, aby móc cokolwiek utrzymać w tajemnicy. Nie wierzysz? Może to się wydawać dziwne, ale tak jest naprawdę. Interesujące wiadomości rozchodzą się wśród Murzynów szybciej niż w Ameryce, wyposażonej w radia, telefony i telegraf. Nieraz usłyszysz tutaj dudnienie bębnów. To jest właśnie murzyński telegraf.

— Podczas pańskiej nieobecności słyszałem gdzieś daleko bicie bębnów
— wtrącił Tomek.

— A czy zauważyłeś, że w kilka godzin później powróciłem do wioski?

— Tak! Teraz przypominam sobie, że tak było!

— Otóż mieszkańcy wioski przekazali wiadomość, że pojawił się dziwny ludożerca, który wypłoszył ich z domostw. Towarzyszący mi Murzyni usłyszeli głos bębna i wytłumaczyli mi znaczenie sygnałów. Zaniepokojony o zmagazynowane w wiosce towary szybko wróciłem.

— Nie wiedziałem, że tak można się porozumiewać.

— O tak, można! Wiadomość podawana w ten sposób z wioski do wioski przebiega dżunglę i stepy afrykańskie równie szybko, jak depesza kraje cywilizowane. Przychodzisz do jakiejś zapadłej wioszczyny, a tam już zastajesz wszystkich uprzedzonych o twoim przybyciu. Biali ludzie nie zdążyli jeszcze przeniknąć całkowicie roli, jaką odgrywają bębny w życiu

Murzynów.

Tomek chłonał słowa podróżnika. Spełniły się przecież jego najskrytsze pragnienia — wędrował przez tajemniczy kraj i czekały go prawdziwe przygody. Zaciekało chłopca, dlaczego pan Brown wyruszył zaraz po opuszczeniu statku w dżunglę, pozostawiając zapasy i Sambo. Gdy zapytał o to, pan Brown rzekł:

— Murzynom nie wolno posiadać broni palnej, a że nie wszyscy potrafią zabić grubszego zwierza włóczniami, więc zawsze są spragnieni mięsa. Chcąc ich zachęcić, by dali mi odpowiednią liczbę tragarzy, obiecałem im dużo świeżego mięsa. Zaraz pierwszego dnia udało mi się zastrzelić kilka małp, po czym wyruszyłem na dalsze polowanie na grubego zwierza. Niestety, twój występ w roli ludożercy przerwał je. Mam nadzieję, że już nie sprawisz mi takich niespodzianek, i myślę, że będziemy przyjaciółmi?

Długa, koścista dłoń wyciągnęła się ku Tomkowi, a chłopiec ucisnął ją z szacunkiem. Podróżnik okazał mu wiele zrozumienia i dobroci, mimo że chłopiec był przyczyną wielu jego kłopotów.

W ten sposób pan Brown i Tomek zawarli przyjaźń.

Pan Brown chciał jak najprędzej dołączyć do swojego pomocnika.

Wędrowali więc przez cały dzień, z wyjątkiem najgorętszych godzin południa.

Pot spływał po twarzy Tomka, starającego się nadążyć za podróżnikiem.

Wdzięczny był teraz swemu przypadkowemu opiekunowi za ofiarowanie mu

jednego ze swych tropikalnych ubrań. Leżało na nim jako tako, gdyż jak na

swój wiek Tomek był dość wysoki. Tak więc wędrował ubrany w kask

tropikalny, koszulę z krótkimi rękawami i krótkie, szare płócienne spodnie.

Na jego chudych łydkach ledwie trzymały się skórzane ochraniacze przed

kolczastymi i parzącymi roślinami. Uzbrojony był w krótki karabinek,

podarowany mu na czas wyprawy przez pana Browna. Tomek był z niego tak

dumny, że choć z trudem nadążał za swym przewodnikiem, ani jedno słowo

skargi nie padło z jego ust.

Interesujące wyjaśnienia podróżnika, jak i nieznaną roślinność wokół,

pomagały mu zapomnieć o upale i zmęczeniu.

Mimo że było już około południa, w dżungli panował półmrok. Drzewa–

olbrzymy rosły dość rzadko, ale ich korony, powiązane ze sobą gęstwą lian,

tworzyły zielony dach nad głowami. Liany, niby żelazne łańcuchy, spowijały

korony drzew tak silnie, że, jak twierdził pan Brown, w czasie szalejących

huraganów padały całe połacie lasu. Dach utworzony z zieleni nie chronił od

gorąca. Przesycona wilgocią ziemia parowała i Tomkowi zdawało się, że znajduje się w cieplarni.

W pewnej chwili gruba gałąź upadła u jego stóp, a w górze rozległ się przeraźliwy wrzask. Tomek uskoczył w bok, kryjąc się za pniem drzewa, lecz podróżnik roześmiał się i powiedział:

— Spójrz w górę, a zobaczysz, kto cię zaczepia!

Tomek zadął głowę i wysoko nad ziemią ujrzał brunatne, niewielkie zwierzęta, przeskakujące z gałęzi na gałąź. Małpy wrzeszczały z uciechy, widząc, że udało im się wywołać zamieszanie. Teraz i Tomek roześmiał się z własnego przestrawu i podążył za panem Brownem.

— Czy małpy mogą być groźne dla ludzi? — zapytał po chwili.

— Ta, która rzuciła w ciebie patykiem — nie, ale są gatunki nadzwyczaj niebezpieczne i złośliwe. Najniebezpieczniejsze dla człowieka są goryle, ale w tych stronach Afryki ich nie ma. Ale nieco dalej na zachód, dwa tysiące kilometrów stąd, już mógłbyś je spotkać.

Było już dobrze po południu, gdy dżungla zaczęła rzednąć. W gąszczu prześwitywały polanki porośnięte ostrą, wysoką na kilkadziesiąt centymetrów trawą.

Tomek był bardzo zmęczony, toteż z radością przyjął słowa zapowiadające koniec wędrówki na ten dzień. Rzeczywiście, wkrótce zatrzymali się na niewielkiej polanie. Murzyni sprawnie zbudowali kilka szałasów z gałęzi i rozpalili potężne ognisko, po czym kucharz zabrał się do gotowania kolacji.

— No, Tomku! Ściągaj buty — rozkazał pan Brown.

— Trzeba pomyśleć o twoich nogach, nieprzywykłych do takich długich wędrówek. Muszę przyznać, że spisałeś się o wiele lepiej, niż przypuszczałem.

Tomek wymoczył nogi, a Sambo zrobił mu masaż. Pieczenie i ból minęły prawie natychmiast. Poczul się tak rześki, że poprosił pana Browna o pozwolenie wypróbowania swego karabinku.

Pierwszy strzał nie był zbyt celny. Karabin odrzucił mu ramię do tyłu, a blaszana puszką po konserwach, umieszczona na pniu w odległości mniej

więcej czterdziestu kroków, ani drgnęła.

— No, jak się czujesz po swym pierwszym strzale z karabinu? —
roześmiał się pan Brown.

— Z mojej wiatrówki, którą ojciec sprawił mi w zeszłym roku na
gwiazdkę, trafiłbym na pewno — odparł Tomek.

— Przecież na zawodach szkolnych w Nowym Jorku dostałem pierwszą
nagrodę.

— Tak, tylko że wiatrówka nie odrzuca tak jak karabin. Strzelając z
karabinu, należy kolbę docisnąć do ramienia, a potem wolno ściągnąć spust.
Dopiero po dokładnym wycelowaniu dociska się spust do końca. Wtedy strzał
jest celniejszy i nie odrzuca tak ramienia.

Za czwartym strzałem blaszana puszką sfrunęła z pnia, przesyta kulą na
wylot. Po następnych kilku celnych strzałach pan Brown orzekł, że z Tomka
powinien być dobry strzelec.

PPIIEERRWWSSZZEE SSTTAARRCCIIIEE

— Zbudź się, Tomku!

Z trudem otworzył oczy i ujrzał pochylonego nad sobą pana Browna, potrząsającego go delikatnie za ramię. Sen jednak pierzchnął natychmiast, gdy uprzytomnił sobie, gdzie się znajduje. Zerwał się na nogi, pytając:

— Czy już wyruszamy?

— Tak, zjedz prędko śniadanie i ruszamy w drogę. Chciałbym dzisiaj dotrzeć do obozowiska Nicka.

Pan Brown spostrzegł z zadowoleniem, że po Tomku nie widać śladów wczorajszego zmęczenia. Gdy wyruszali, uśmiechnął się, widząc że chłopiec z wielką powagą przewiesza karabin przez ramię. Tłumiąc wesołość, odezwał się:

— Wytrawny podróżnik nosi karabin w taki sposób, aby w każdej chwili móc złożyć się do strzału. Lufa musi zwieszać się w dół, a zamek powinien się znajdować na wysokości łokcia.

Tomek gorliwie zastosował się do tych wskazówek, gdyż wszystkie

pouczenia pana Browna były dla niego święte.

Trzy godziny minęły od chwili opuszczenia miejsca noclegu. Szli korytem wyschniętego strumienia; po obu brzegach drzewa i krzewy stanowiły niemal jednolitą, nieprzeniknioną ścianę. W niektórych miejscach czerniły się wyrwy, niczym bramy w głąb dżungli. Były to wyloty ścieżek zwierząt przychodzących do strumienia obfitującego w pewnych okresach w wodę.

Tomek szedł długim krokiem na końcu karawany tuż przy panu Brownie. Z radością myślał o wieczornym odpoczynku w czasie którego, jak się spodziewał, pan Brown udzieli mu następnej lekcji strzelania. Marzył, aby w czasie wyprawy nadarzyła mu się okazja do zabłyśnięcia odwagą. Co by powiedzieli jego rodzice i koledzy, gdyby dokonał jakiegoś bohaterskiego czynu? Oczyma wyobraźni widział już, z jakim podziwem wszyscy patrzyliby na niego.

Szedł więc czujnie, zwracając baczna uwagę na wszystko, co wokół się działo. Nerwy miał napięte do ostateczności, ale czas mijał, a upragniona sposobność nie nadchodziła.

Nagle za nimi rozległ się przeraźliwy krzyk. Tomek, podniecony ambitnym planem, zareagował o ułamek sekundy wcześniej niż inni. Odwrócił się i ujrzał groźny obraz.

Na ścieżce, o kilkadziesiąt kroków od nich, zobaczył Murzyna, który już od dłuższego czasu — ze zmęczenia czy osłabienia — trzymał się za karawanę. Teraz stał jak skamieniały, odwrócony tyłem, a przed nim przysiadł, gotując się do skoku, potężny zwierz, o czerwono–żółtym futrze, w czarne cętki. Lampart! — przeleciało przez głowę Tomkowi. W wielkiej, okrągławej głowie drapieżnika zaświeciły groźne ślepie. Reszta dokonała się w mgnieniu oka. Tomek zdał karabin z ramienia, złożył się i strzelił. Błysnęło w półmroku dżungli i potężne zwierzę, jakby rażone piorunem, runęło na ziemię. Murzyn wrzeszczał dalej, ile sił w płucach.

Tomek stał oszołomiony, z opuszczonym ku ziemi karabinem. Nie rozumiał, w jaki sposób udało mu się tak szybko wymierzyć i wystrzelić. Tymczasem pan Brown pobiegł ku lampartowi, z bronią gotową do strzału. Spojrzawszy na zwierzę, pokręcił głową, odwrócił się do Tomka i zawołał:

— Podejdź tutaj, Tomku, i zobacz swoje dzieło!

A gdy Tomek się zbliżył, rzekł: — Dostał kulą między oczy! Zobacz sam!

Tomek pochylił się nad potężnym cielskiem. Mały otwór, widniejący między oczami lamparta, wskazywał wyraźnie miejsce wejścia kuli.

— Sam nie wiem, jak to się stało — rzekł chłopiec po chwili. — Kiedy czarny zaczął wrzeszczeć, odwróciłem się, a potem strzeliłem.

Pan Brown spoglądał na Tomka pełnym niedowierzania wzrokiem.

Usłyszawszy, odwrócił się prawie jednocześnie z chłopcem i chciał strzelić do zwierzęcia. Ale gdy on, wytrawny myśliwy, zdążył zaledwie złożyć się do strzału, było już po wszystkim. Tomek wystrzelił i trafił między oczy.

— Muszę ci pogratulować, Tomku — odezwał się w końcu. — Tak czy inaczej, strzał był mistrzowski i wybawił Murzyna z niebezpieczeństwa. Ze względu na wielką ruchliwość lampartów, strzelanie do nich nie należy do łatwych zadań. A jeśli strzał nie jest od razu śmiertelny, strzelający naraża się na ogromne niebezpieczeństwo. Ranny lampart jest jednym z najgroźniejszych drapieżników dżungli. Co prawda, tobie nic nie groziło, ale Murzyna lampart rozdarłby na kawałki, gdyby nie padł od razu.

Tomek spojrział na otaczających go ludzi. Ich wzrok, pełen podziwu, potwierdził słowa pana Browna. Podróżnik podał mu rękę, a Murzyni zaczęli przekrzykiwać się w pochwałach.

— Zabierzcie lamparta i ruszajmy — zarządził pan Brown, kładąc kres owacjom.

Murzyni sprawnie ścięli drzewko, ociosali z gałęzi i wsunęli pomiędzy łapy lamparta, które związali lianami. Potem dwóch wzięło ten dodatkowy bagaż i ruszono w drogę.

Nie było im jednak dane zaznać spokoju. Za ledwie pół godziny od zajścia z lampartem czoło pochodu się zatrzymało. Sambo szybko podbiegł do pana Browna, idącego z Tomkiem na końcu karawany, i powiedział szeptem:

— Słonie! Słonie zagradzać drogę!

Pan Brown, nie tracąc czasu, pobiegł na czoło karawany, a zaciekawiony Tomek podążył za nim.

Za zakrętem, o jakieś dwieście metrów od nich, ścieżką, wolnym krokiem, wlokły się ku nim trzy słonie. Były to samica i wielki samiec. Tuż za nimi ciągnęło małe słoniątko. Zwierzęta szły powoli i zatrzymywały się co kilka kroków, przymykały oczy i wachlowały olbrzymimi uszami, opędzając się od dokuczliwych owadów. Wspaniałe, długie kły lśniły białością na tle ciemnoszarych cielsk.

Zaatakowanie tych olbrzymów na wąskiej ścieżce nie wróżyło nic dobrego dla małej karawany. Toteż pan Brown, widząc, że Tomek zaciska dłonie na karabinie, odezwał się szeptem:

— Nie strzelaj! Nierozsądnie byłoby zaczepiać je w tym gąszczu, zwłaszcza że mają przy sobie małe. W takim wypadku nie są zbyt ustępliwe.

Przez chwilę podróżnik stał w milczeniu, a następnie odezwał się do Murzynów:

— Który z was dobrze zna te okolice? — A kiedy dwóch odpowiedziało twierdząco, zapytał: — Czy znajduje się tu jakaś inna ścieżka, którą można by ominąć słońce?

— Jest, tylko trzeba przebić się przez gąszcz na prawo — odpowiedzieli.

— Wytnijcie nożami przejście. Wyminiemy słońce — rozkazał.

Murzyni szybko utorowali przejście przez gąszcze i pochód zniknął w dżungli.

Jak się okazało, nie można było zbyt wiele polegać na słowach Murzynów. Jakkolwiek twierdzili, że znają teren doskonale i potrafią odnaleźć ścieżkę, o której istnieniu mówili przedtem z taką pewnością, czas dłużył się w nieskończoność, a ścieżki nie było widać. Długo kluczyli po bezdrożach, aż Tomkowi zaczęło się wydawać, że dwaj przewodnicy po prostu wymyślili nieistniejącą drożynę, aby tylko nie narazić się na zetknięcie ze słoniami. Do takiego samego wniosku musiał dojść i pan Brown, gdyż w końcu sam objął przewodnictwo i postanowił odnaleźć koryto wyschniętego strumienia, którym szli przedtem. Po półtoragodzinnym marszu po zaroślach istotnie je odnalazł, ale jak się okazało, stracili tyle czasu, że nie można było myśleć o dotarciu tego dnia do obozowiska Nicka. Kazał więc zwolnić, a napotkawszy wkrótce małą polanę, postanowił na niej przenocować. W pobliskim gąszczu płynął strumyk, miejsce więc doskonale nadawało się na nocleg.

Wrażenia i kluczenie po gąszczu zmęczyły Tomka, toteż, gdy tylko zjadł kolację, położył się na kocu pod drzewem i natychmiast zasnął.

Przeżycia dnia nie opuściły go również w czasie snu. Olbrzymi lampart zjawił się przed nim i, szczerząc kły, szykował się do ataku. Tomek chwycił karabin, lecz chociaż naciskał spust całą siłą, strzał nie padał. W końcu lampart podszedł tak blisko, że Tomek musiał się cofnąć i oddalić od karawany. Nie widział już Murzynów ani pana Browna. Lampart zmuszał go do zagłębienia się w gąszcz. Tomek starał się przyspieszyć kroku, ale nogi miał skrępowane. W końcu ujrzał zwisającą gałąź. Zdawało mu się, że na niej będzie bezpieczny, skoczył więc i... runął jak długi na ziemię.

Upadek zbudził go. Leżał opodal drzewa, pod którym urządził sobie

legowisko, z nogami zaplątanymi w kocu, a wokół niego panował nieopisany zgiełk i zamęt. Wrzeszczący ze strachu Murzyni wdrapywali się z gorączkowym pośpiechem na drzewa, a pan Brown repetował karabin, krzycząc coś głośno do wystraszonego Sambo.

Srebrzysta poświata księżycowa sprawiała, że było jasno jak za dnia.

Tomek ujrzał więc niesamowity widok z całą wyrazistością. O kilkanaście kroków od obozu olbrzymi bawół afrykański toczył śmiertelny bój z lwem.

Obydwa zwierzęta stanowiły wspaniałe okazy. Wiadomo, że bawoły afrykańskie nie obawiają się nikogo, nawet lwa. Toteż wielki lew musiał być bardzo spragniony mięsa, jeśli, czatując u pobliskiego wodopoju na zwierzęta, zdecydował się na zaatakowanie bawołu. Rzeczywiście lew był głodny i z

determinacją napadł na groźnego przeciwnika. W zażartej walce obydwie zwierzęta odniosły rany. To je rozjuszyło do tego stopnia, że gdy z gąszczu walka przeniosła się na polanę, w pierwszej chwili nie zwróciły uwagi na zrywających się z krzykiem ludzi.

W chwili, gdy Tomek się zbudził i, zrywając na nogi, runął na ziemię, bawół, rozjuszony wrzaskiem Murzynów, oderwał się potężnym rzutem cielska od swego przeciwnika i cwałem ruszył na gromadkę ludzi.

Tomek ujrzał pochylony ku ziemi olbrzymi łeb, uzbrojony w ostre rogi, i toczącą się za nim masę cielska. Prerażony rzucił się ku drzewu i dopiero znalazłszy się wśród gałęzi, spojrzął na rozgrywającą się u jego stóp scenę.

Kilku Murzynów nie zdołało jeszcze skryć się na drzewach. Jeden z nich znalazł się na drodze szarżującego bawołu. Tomek przymknął oczy, lecz przeraźliwy krzyk tratowanego mówił wszystko. Zagrzmiął karabin pana Browna. Rozległ się chrzęst repetowanej broni i znów huknął strzał.

Głośny stęk bawołu, który rozległ się tuż pod drzewem, zmusił Tomka do otwarcia oczu.

Niebezpieczeństwo minęło. Pan Brown stał pod drzewem z karabinem w ręku, a bawół, powalony, kopał racicami ziemię. Lwa nie było nigdzie widać. Widocznie uciekł, spłoszony strzałami i ukazaniem się nowego, groźniejszego przeciwnika.

Już nic się nie działo, ale Murzyni dalej siedzieli na drzewach. Teraz pan

Brown, z bronią gotową do strzału, ostrożnie podszedł do bawołu i z bliska wypalił po raz trzeci. Ostrożność ta nie była, jak się okazało, zbędna, gdyż bawół poderwał się jeszcze na nogi, lecz zaraz runął na ziemię i odrzucił do tyłu olbrzymi łeb.

Na okrzyk pana Browna, oznajmiający, że niebezpieczeństwo minęło, Murzyni zeskoczyli z drzew, ale szli powoli i ostrożnie, jakby obawiali się, że bawół może jeszcze ożyć, a lew — powrócić.

— Schodź z drzewa, Tomku! — zawołał pan Brown, a kiedy Tomek podszedł ku niemu, dodał: — Zrobiłeś bardzo rozsądnie, uciekając na drzewo, gdyż naprawdę byliśmy w wielkim niebezpieczeństwie. Widziałeś, że i tragarze uczynili to samo. Afrykańskie bawoły w ogóle są niebezpieczne, a bawół samotnik, taki jak ten, groźny jest dla wszystkiego, co napotka na swej drodze. Sam zresztą widziałeś! Nawet śmiertelnie zraniony bawół potrafi zabić myśliwego, jeśli ten, złudzony jego pozorną słabością, podejdzie zbyt

blisko, nieprzygotowany na atak. A tamtemu biedakowi — po tych słowach spojrzął na stratowanego Murzyna, leżącego o kilka kroków od bawołu — nie można już pomóc. Nie żyje od kilku minut.

Murzyni szybko rozpalili ognisko, a gdy wybici ze snu podróżnicy zasiedli pod drzewami, pan Brown odezwał się do Tomka:

— Doprawdy, dobrze zrobiłeś, kryjąc się na drzewo. Lepiej tak zrobić, jeśli nie jesteś pewny, że nerwy nie sprawią ci przykrej niespodzianki w decydującej chwili. Tak samo, jeśli na twojej ścieżce znajduje się jakikolwiek zwierz i nie zaczepia cię, omiń go. Tak robi każdy rozsądny podróżnik. Natomiast jeżeli ktoś zaatakuje cię w dżungli, powinieneś odpowiedzieć atakiem we własnej obronie. Takie jest prawo dżungli.

UU SSTTÓÓPP KKIILLIIMMAANNDDŻŻAARROO

Przez resztę nocy nikt nie zmrużył już oka. Toteż zaraz po śniadaniu pan Brown dał hasło do wymarszu. Przedtem Murzyni obdarli jeszcze zastrzelonego bawołu ze skóry, gdyż pan Brown uznał go za okaz nadający się do afrykańskiego pawilonu w nowojorskim muzeum.

Po trzygodzinnej wędrówce dżungla ustąpiła miejsca lasom parkowym, poprzedzianym przestrzeniami stepu i wkrótce karawana znalazła się w obozowisku Nicka.

Nick był młodym i rzutkim mężczyzną. Z zainteresowaniem wysłuchał historii Tomka, a usłyszawszy o jego mistrzowskim strzale do lamparta, poklepał go po ramieniu, mówiąc:

— Jeśli tak jest w rzeczywistości, to przydasz nam się tutaj. Lubię takich urwisów jak ty.

Tomek poczuł się w swoim żywiole. Nikt się nim specjalnie nie zajmował, więc miał wielką swobodę i mógł robić to, co go interesowało. A doprawdy było się czym interesować. Trzon ekspedycji stanowiło pięć wielkich samochodów ciężarowych. Na jednym z nich zakwaterowali się pan Brown, Nick i Tomek. Urządzili się na nim, jak mogli najwygodniej. Kamery

i aparaty fotograficzne pan Brown trzymał przy sobie, a resztę bagaży załadowano na inną ciężarówkę. Oprócz murzyńskich szoferów wyprawie towarzyszyło trzydziestu specjalistów od ściągania skór i myśliwych.

Rozejrzawszy się po obozowisku, Tomek zaczął się zastanawiać, w którym kierunku uda się wyprawa. Ujrawszy przeto, że pan Brown rozłożył na stole dużą mapę Afryki, zapytał:

— Czy mógłby mi pan pokazać, gdzie się znajdujemy?

— Jesteśmy w Afryce Równikowej, w kolonii brytyjskiej Kenii, około trzystu kilometrów od najwyższej góry w Afryce, która nazywa się Kilimandżaro.

— Jak wysoka jest ta góra? — zaniepokoił się Tomek.

— Wznosi się prawie 6000 metrów ponad poziom morza.

— Czy zobaczymy tę górę?

— Tak, zobaczysz ją, gdyż nasza wyprawa udaje się na płaskowyż, dotykający jej północnych zboczy.

— A dlaczego postanowił pan wybrać się w te okolice?

— Kraina ta roi się od licznej i różnorodnej zwierzyny, a przecież przyjechałem tu, żeby upolować potrzebne mi do muzeum zwierzęta.

— A gdzie rozbijemy obóz?

Pan Brown nie skąpił wyjaśnień, a Tomek chętnie słuchał i uważnie śledził koniec ołówka, którym podróżnik kreślił na mapie trasę wyprawy. Teraz zrozumiał, że umiejętność czytania map jest niezbędna każdemu, kto chce podróżować po nieznanym krajach.

Tymczasem Murzyni zajęli się wyprawianiem przywiezionej skóry.

Tomek ruszył ku nim i z ciekawością przyglądał się skomplikowanym zabiegom. Skóra była zdjęta z wielką starannością i nie brakowało w niej najmniejszej części.

Godziny przedwieczorne upłynęły na przygotowaniach.

O świcie wyprawa ruszyła w dalszą drogę.

Sześć dni trwała męcząca jazda samochodami. Teren nie był łatwy do przebycia. Pan Brown nie trzymał się utartych szlaków, gdyż obszary obfitujące w zwierzynę leżały daleko od terenów zaludnionych. Toteż samochody z trudem pięły się po stokach płaskowyżu, przebywały w bród strumienie i przedzierały przez zarośla.

Murzyni często musieli torować drogę przez gęszcz nożami i siekierami.

Nic więc dziwnego, że upłynęło sześć dni, zanim przebyto trzysta kilometrów oddzielających cel wyprawy od obozowiska Nicka.

Przez cały czas Tomek nie wypuszczał z rąk lornetki. A było na co patrzeć. Nosorożce, dziki afrykańskie, żyrafy, stada najróżniejszych antylop, lwy, a nawet słonie ukazywały się w pobliżu. Dla Tomka było wielką niespodzianką, że można przebywać tak blisko dzikich zwierząt i nie być narażonym na niebezpieczeństwo. Wiele zwierząt wcale nie reagowało na widok samochodów, a najczęściej po prostu uciekały. To była prawdziwa pierwotna Afryka, której istnienia Tomek, stroniący dotychczas od geografii, nawet nie podejrzewał. Nic więc dziwnego, że sześć dni upłynęło mu szybko i prawie żałował, gdy przed nimi wyłonił się potężny masyw wygasłego wulkanu Kilimandżaro.

Najwyższa góra Afryki sprawiła na Tomku ogromne wrażenie. Nieliczne otaczające ją góry wyglądały jak krasnoludki przy olbrzymie. Jej ścięty i pokryty śniegiem wierzchołek zdawał się wisieć w powietrzu, gdyż

przeptywające poniżej chmury tworzyły jakby kłębiasty, gruby wieniec wokół niego. Równina u stóp Kilimandżaro, po której posuwała się karawana samochodów, była stepem porośłym spaloną słońcem trawą, miejscami przechodzącą we wspaniałe lasy. Gdzieś tam rozpościerały się moczary, porośnięte bujną, barwną roślinnością. Były to siedziby bawołów, jak wyjaśnił Tomkowi pan Brown.

Na skraju jednego z lasów pan Brown nakazał rozbić obozowiska. Było to wymarzone miejsce na obóz, suche, lecz cieniste, z szerokim widokiem na step i potężny maszyn Kilimandżaro. Las poprzecinany był we wszystkich kierunkach ścieżkami wydeptanymi przez zwierzęta. Również liczne źródła dawały pewność, że okolica musi obfitować w zwierzynę.

Obozowisko urządzono w ciągu kilku godzin i jeszcze tego samego popołudnia pan Brown wyruszył na zbadanie okolicy. Tomek pozostał na miejscu, gdyż Nick polecił mu nadzór nad pracami obozowymi, ale ucieszył się ogromnie, gdy pan Brown oznajmił po powrocie:

— Zwierzyny dużo, jak śniegu na Kilimandżaro! Jutro będziemy polowali na lwy. Udało mi się wyśledzić rodzinę składającą się co najmniej z ośmiu lwów.

— Czy będę mógł wziąć udział w tym polowaniu? — zapytał Tomek, poruszony do głębi usłyszaną wiadomością.

— Jakże mógłbym pominąć tak wspaniałego strzelca!

— uśmiechnął się pan Brown. — Muszę ci jednak powiedzieć, że nie zawsze uda ci się znaleźć tak grube drzewo, które by się nie ugięło pod ciężarem twego ciała.

Tomek zmieszał się na wspomnienie ucieczki na drzewo w czasie przygody z bawołem, lecz przyszedł mu z pomocą Nick, mówiąc:

— Nie martw się jego żartami, Tomku. Widziałem już pewnego sławnego podróżnika, który usiłował uciec przed dzikiem afrykańskim na małe, wątłe drzewko. Myślę, że pan Brown mógłby nam coś o tym powiedzieć.

Teraz pan Brown roześmiał się głośno i przyznał się, że w istocie pewnego razu uciekł na drzewo w obawie przed groźnymi kłami dzika. Było to podczas jego poprzedniej wędrówki z Nickiem. Strzelił do dzika, lecz strzał był tak niefortunny, że tylko zranił i rozjuszył bestię. Okazało się, że w karabinie nie było już nabojów. Nie mogąc dobić dzika, porzucił broń i

wdrapał się na cienkie drzewko, uginające się niepokojąco pod ciężarem jego ciała. Na szczęście z opresji wybawił go Nick, który celnym strzałem dobił zranione zwierzę.

— Kosztowało mnie to ładnych parę dolarów — kończył swe opowiadanie pan Brown — gdyż dzik, nie mogąc mnie dosięgnąć, zmiażdżył mi karabin w swych potężnych szczękach.

— A jednak nie będę się więcej krył na drzewo — powiedział Tomek... i dotrzymał słowa.

PPOOLLOOWWAANNIIIEE NNAA LLWWYY

Myśliwi szli gęsiego wzdłuż leśnego strumienia, w którego wartkim prądzie pluskały się ryby. Ponad ich głowami rozbrzmiewał śpiew ptaków i wrzask małp. Liczne świeże ślady na ścieżkach wydeptanych przez zwierzęta obiecywały pomyślne zakończenie polowania.

Tomek był mocno podniecony. Przecież szedł z karabinem w rękę, aby polować na lwy. Pan Brown i Nick zabrali ze sobą dwunastu Murzynów, którzy, natychmiast po polowaniu, mieli ściągnąć skóry z zabitych zwierząt.

Nagle pochód zatrzymał się. Pan Brown i Nick pochylili się nad kawałkiem zdeptanej ziemi u brzegu strumienia. W tym miejscu rozlewał się on trochę szerzej, tworząc przy jednym z brzegów nieckowatą wyrwę, w której woda stała spokojnie, ledwie poruszana prądem strumyka.

Tomek trącił w bok stojącego obok niego Sambo i zapytał:

— Czy pan Brown już odkrył ślady lwów?

— Tu lwy pić w nocy wodę — odparł Sambo. — W dzień one siedzieć w zaroślach i spać. Lwy być mądre, one nie męczyć się bieganiem w dzień, kiedy gorąco.

Tomek popatrzył na mętną wodę wypełniającą nieckę i rzekł:

— Lwy wcale nie są mądre. Po co piją brudną wodę, skoro czysty strumień płynie tuż obok?

— Brudna woda lepsza — odparł Sambo. — Wszystkie zwierzęta lubić stojącą wodę.

Tomek nie zdążył już odpowiedzieć, gdyż pan Brown ruszył w dalszą drogę. Wędrówka ścieżką zwierzęcą trwała około pół godziny. Tomek potykał się co chwila o wystające z ziemi korzenie, lecz w najmniejszym stopniu nie ochłodziło to jego zapału łowieckiego. Wyobrażał sobie, jak rozjuszony zwierzęta rzucają się na nich i... mrowie przechodziło mu po plecach. Bo jednak lew na wolności może budzić strach — myślał Tomek. To nie to samo co lew w klatce w ogrodzie zoologicznym.

Nic więc dziwnego, że gdy las przerzedził się, przechodząc stopniowo w poplątane krzewy, Tomek trzymał się już jak najbliższej dwóch białych mężczyzn.

Pan Brown znów przystanął, badając uważnie kierunek wiatru. Widząc podniecenie Tomka, wyjaśnił:

— Wytropione przeze mnie wczoraj lwy są w pobliżu. Pójdziemy teraz pod wiatr, żeby nas za wcześnie nie zwęszyły. Trzeba też zachować milczenie i unikać nadeptywania na suche gałęzie.

Ruszyli, zachowując jak największą ostrożność. W końcu marsz zmienił się w podchody. Znów się zatrzymali, a jeden z Murzynów poszedł na zwiad. Po chwili wrócił, oznajmiając, że lwy znajdują się w odległości pięćdziesięciu kroków.

Wykorzystując krzewy jako osłonę, podkradli się bardzo blisko, a Tomek nagle usłyszał gniewne mruknięcie. Przywarł do ziemi tuż za Nickiem, a kiedy odważył się rozchylić ręką krzewy, widok zaparł mu dech w piersiach.

O jakieś dwadzieścia pięć kroków od nich, na skraju maleńkiej polany, wylegiwały się lwy.

— Raz, dwa, trzy, cztery, pięć — policzył.

Pięć lwów wypoczywało po nocnych łowach. Musiały być syte i to zapewne stępiło ich czujność, gdyż zaledwie jeden z nich, olbrzymi samiec o płowej, puszystej grzywie, uniósł się z ziemi na przednie łapy, węsząc w powietrzu. Inne wylegiwały się pod osłoną niskich drzew, nie zdradzając niepokoju.

Pan Brown dał znak ręką i wszyscy myśliwi zamarli w bezruchu.

Nie minęło dziesięć minut, a wężący lew uspokoił się i wyciągnął na trawie, opierając potężny łeb na przednich łapach.

Teraz pan Brown na migi wydał rozkazy. Wynikało z nich, że bierze na siebie olbrzymiego lwa, podczas gdy Nick i Sambo mają zająć się dwiema lwicami. Tomkowi wskazał najmniejsze zwierzę, udzielając szeptem wskazówek, gdzie ma mierzyć. Myśliwi rozciągnęli się pod krzewami i kiedy każdy z nich wymierzył, jeden z Murzynów klasnął w dłoń.

Na odgłos nieznanego dźwięku lwy poderwały się na nogi.

Huknęły cztery strzały, a właściwie trzy, a czwarty tuż po nich. To Tomek spóźnił się o kilka sekund. Strzelił i ujrzał, że jego lew znika w buszu. Chybił. Sama świadomość, że mierzy do lwa, przyprawiła go o drzenie rąk.

Trzy lwy leżały zabite na skraju łąki, a pozostałe dwa skryły się w buszu.

— Chybiłem! — zawołał Tomek, widząc że myśliwi podnoszą się z ziemi.

— Tak to przeważnie bywa, kiedy się po raz pierwszy strzela do żywego celu z pełną świadomością — odparł Nick.

Tymczasem pan Brown obejrzał zabite zwierzęta, zbadał ślady zbiegłych lwów i odezwał się:

— Wydaje mi się, że jednak postrzeliłeś swego lwa, Tomku. Krwawił, uciekając. Na drugi raz, jeśli nie jesteś pewny strzału, nie strzelaj. Zranione zwierzę męczy się w dżungli, a jednocześnie staje się bardzo niebezpieczne dla ludzi. Przeważnie zwierzęta...

Przerwał, gdyż w tej samej chwili jeden z Murzynów zawołał:

— Dziecko lwa!

Wszyscy spojrzeli we wskazanym przez niego kierunku.

W wysokiej trawie, chwiejąc się niepewnie na wątych łapkach, ukazał się mały kociak. Tomek kilkoma skokami dopadł lwiątko i, przyklękawszy, wyciągnął ku niemu ręce. Lwiątko przysiadło niezgrabnie na zadzie i zmarszczywszy pyszczek, odsłoniło małe kły. Ciche mruknięcie nie odstraszyło Tomka. Po chwili lwiątko siedziało już na jego kolanach.

Pan Brown nachmurzył się i uważnie sprawdził, czy jego karabin jest nabity.

— Prawdopodobnie zabiliśmy mu matkę, jak myślisz, Nick? — zapytał.

— A może to kociak którejś ze zbiegłych lwic? — rzekł Nick.

— To byłoby już całkiem źle — odparł pan Brown. — Gdybym zauważył wcześniej to maleństwo, dalibyśmy im wszystkim spokój.

— A to dopiero! — zmartwił się Nick. — Co teraz zrobimy z tym kociakiem?

— Zabiorę go i będę pielęgnował — postanowił Tomek, spoglądając pytająco na swego opiekuna.

— Jeśli jego matka żyje, to wróci tu po niego — odpowiedział pan Brown. — W przeciwnym razie, pozostawiony tutaj, kociak skazany jest na śmierć głodową. Nie ma innej rady, zabierz go ze sobą.

Murzyni zaczęli przygotowywać się do ściągania skór z martwych zwierząt.

— Czy nie lepiej byłoby, gdybyśmy to zrobili w obozie? — odezwał się Nick. — Starczą nam chyba trzy okazy, a tymczasem jeśli tu pozostaniemy, tamte dwa mogą powrócić.

Pan Brown zrozumiał intencję Nicka. Rzecz oczywista, tamte dwa lwy mogły wrócić w każdej chwili; przecież tylko dlatego trzymał swą broń w pogotowiu. Obydwaj myśliwi nie uznawali zabijania zwierząt dla samej przyjemności polowania. Bezmyślne tępienie zwierzyny uważali za szkodliwe.

— Masz rację — przyznał słuszność Nickowi. — Zabierzcie lwy i wracajmy do obozu, tam zdejmiecie z nich skóry.

Murzyni ochoczo zabrali się do wypełniania rozkazu. Woleli nie przebywać w miejscu, koło którego błąkał się zraniony lew, a może nawet lwica, rozwścieczona utratą małego.

Tomek nawet nie zauważył, że wracają do obozu inną drogą. Teraz już nie potrzebowali zachowywać ostrożności, która była konieczna przy podchodzeniu zwierzyny. Toteż upłynęło zaledwie pół godziny, gdy Tomek ujrzął obozowisko.

— Jak będziemy go karmili? — zapytał pana Browna, sadowiąc się w cieniu rozłożystego figowca, rosnącego na skraju obozu.

— Smoczkiem. Mam ich kilkanaście ze sobą — odparł pan Brown. — Zaraz się za nimi rozejrzę.

Tomek pozostał pod figowcem, pieszcząc swojego pupila. Lwiątko było zdenerwowane. Miauczało i mrucało, wrywając się co chwila w kierunku buszu. Tomek doszedł do wniosku, że tęskni za matką i tym więcej pieścił

maleństwo.

Jakże pragnął, aby pan Brown pozwolił mu zatrzymać kociaka na zawsze! Wprawdzie nie bardzo zdawał sobie sprawę, co począłby z lwiątkiem w Ameryce, ale koniecznie chciał je mieć. Tymczasem pan Brown, Nick i Sambo nadeszli ze smoczkiem i butelką z mlekiem. Początkowo lwiątko nie chciało wziąć smoczka do pyszczka, ale widocznie było głodne, gdyż poczuwszy mleko na języczku, zaczęło ssać z wielkim zapałem.

Bawiono się doskonale do chwili, kiedy nadszedł Tana, przywódca tubylców. Tomek pozostał z lewkiem pod figowcem, a pan Brown, Nick i Sambo wygodnie rozłożyli się na trawie o kilkanaście kroków dalej. Tana, oparłszy swą długą włócznię o drzewo, kucnął przy nich, po czym zaczęli omawiać plan łowów na dzień następny.

Tymczasem Tomek karmił lwiątko z butelki, a potem puścił je na trawę, gdzie zaczęło radośnie baraszkować. Pochłonięty zabawą Tomek zrazu nie

zauważył, że lwiątko zaczyna oddalać się od drzewa i posuwał się za nim na czworakach. Po chwili zorientował się, że kociak z uporem dąży w kierunku krzaków, więc chciał go zawrócić w stronę obozu, gdy wtem gniewny pomruk zmusił go do spojrzenia przed siebie. O siedem kroków od niego stała postrzelona lwica. Poznał ją natychmiast po zakrwawionym karku. Jej mięśnie prężyły się do skoku.

Wyciągnięta po lwiątko ręka zastygła w bezruchu w powietrzu. Tomek poczuł, że krew odpływa mu z serca. Lwica przywarła do ziemi, bijąc ogonem po bokach. Wyszczzerzone kły rozchyliły się; nie było najmniejszej wątpliwości, że zwierzę gotuje się do skoku. Tomek nie odważył się spojrzeć na myśliwych siedzących opodal figowca. Żaden z nich nie miał przy sobie broni, a obozowisko, w którym zostawili karabiny, oddalone było o kilkadziesiąt kroków.

Groźny pomruk rozległ się po raz drugi. Ślepią lwicy zmrużyły się, ogon uderzył o ziemię... Tomek poczuł, że włosy stają mu dęba ze strachu. Zdawało mu się, że czuje już w swym ciele kły rozjuszzonej bestii, gdy nagle, tuż przed nim na ziemię padł jakiś cień.

Uniósł głowę i do jego serca wróciła nadzieja. Ujrzał czarne nogi, wysuwające się z pobliskich krzewów. Był to Tana, który z podniesioną na wysokość ramienia włócznią starał się odgradzić Tomka od lwicy.

Tymczasem reszta mężczyzn nie śmiała wykonać choćby najmniejszego ruchu, by nie przyspieszyć ataku zwierzęcia. Czterej myśliwi, układający plan polowania na dzień następny, tak zagłębili się w rozmowie, że dopiero

warknięcie lwicy przywróciło ich do rzeczywistości. Widzieli tragiczną sytuację Tomka, lecz nie wiedzieli, w jaki sposób przyjść mu z pomocą. Żaden z nich nie miał przy sobie broni. Nie było też już czasu, aby pobiec po nią do obozu, gdyż lwica, widząc swe małe w rękach chłopca, była tak rozdrażniona, że w każdej chwili mogła wykonać morderczy skok. Sytuacja była naprawdę tragiczna. Pan Brown i Nick byli już gotowi rzucić się z gołymi rękoma między Tomka a zwierzę, gdy Tana ruchem ręki osadził ich na miejscu i wyszedł zza krzaka, który zasłaniał go dotąd przed wzrokiem wielkiego kota.

Był to już najwyższy czas na ratunek, gdyż zraniona lwica drżała z napięcia. To, że Tomek żył do tej pory, zawdzięczał ukazaniu się Tany.

Wysoki Murzyn zwrócił na siebie uwagę rozgniewanego zwierzęcia w chwili,

gdy unosiło się do skoku. Nowy wróg skierował gniew zwierzęcia na inny obiekt.

Gdy łeb lwicy zwrócił się ku Tanie, pan Brown, nie panując już nad sobą, zawołał: — Na drzewo, Tomku! Skacz na drzewo!

Rada była doskonała, gdyż tuż, na wyciągnięcie ręki, stało rozłożyste drzewo, na którego gałęzi Tomek mógł schronić się jednym skokiem. Chłopiec jednak oblizał tylko językiem spieczone wargi i nie ruszył się z miejsca. Na drzewo? Tak, miał nieodpartą ochotę schronić się na nim, ale czyżby po raz drugi miał się narazić na pośmiewisko? Poza tym jeśli Tana się nie boi...

Nie było już jednak czasu na namysł. Głos pana Browna, doradzający Tomkowi ucieczkę na drzewo, podziałał na lwicę tak, jak silne uderzenie ostrogi działa na rumaka. Mięśnie zagrały pod skórą, krótki kark skurczył się i wielkie cielsko śmignęło w powietrzu.

W tej samej chwili ręka Tany wykonała krótki ruch i włócznia, zaświeciwszy jak błyskawica, wybiegła na spotkanie lwicy. Tana uskoczył w bok, a zwierzę runęło na ziemię z głęboko wbitym w czoło ostrzem włóczni. Drzewce broni trzasnęło jak zapałka, lecz samo ostrze tkwiło głęboko w czole. W paroksyzmie bólu lwica skoczyła jeszcze na pień drzewa i pazurami zdarła kawał kory. Był to jednak jej koniec. Stoczyła się na ziemię i nieruchomo legła w trawie.

Gdy przy kolacji omawiano jeszcze raz przygodę Tomka i Tany, pan

Brown rzekł do chłopca:

— Nie dziwię ci się, że nie miałeś siły wskoczyć na drzewo, gdyż i nas wszystkich sparaliżował strach.

— Ja... mogłem to zrobić, ale... nie chciałem — odparł Tomek, a jego głos był o wiele spokojniejszy od głosu myśliwego.

— Nie chciałeś się schronić na drzewo? — zawołał pan Brown ze zdziwieniem. — Przecież lwica przestała zwracać uwagę na ciebie od chwili, gdy pokazał się Tana. Widać było, że nienawidzi Murzynów. Nie przeszkodziłaby ci w dostaniu się na drzewo, co przy twojej zręczności nie było trudne. Byłbyś bezpieczny.

— Ja wcale nie chciałem być „bezpieczny” — powtórzył Tomek z uporem.

— Dlaczego? Co ci się stało, Tomku?

— Znów by wszyscy mówili, że ze strachu skryłem się na drzewie, tak jak to zrobiłem podczas walki bawołu z lwem.

— Więc...

Przerwał jednak, widząc, że Tomek schylił się, aby wziąć na ręce małe lwiątko. Spojrzał tylko na Nicka, który ruchem ramion zdawał się mówić:

— Sam jesteś temu winien! Nie trzeba było kpić z chłopca przed polowaniem!

— Muszę przyznać, że nie straciłeś zimnej krwi — odezwał się pan Brown. — Chcę ci jednak przypomnieć, że obiecałeś mi posłuszeństwo.

— Wiem, ale na drzewo już nie będę uciekał — odparł Tomek, gładząc prychające lwiątko.

Żółta, prawie pomarańczowa, kula księżyca wychyliła się spoza czarnej ściany dżungli i zawisała tuż nad nią.

— Jak blisko wydaje się stąd do księżyca — pomyślał Tomek.

Zdawało mu się, że olbrzymia kula znajdowała się tutaj bliżej ziemi, niż to bywało w Nowym Jorku, gdy patrzył na księżyc. Zastanawiał się właśnie, czy to nie złudzenie, gdy wtem obok niego rozległo się ciche warknięcie.

Obok namiotu stała spora klatka sporządzona z bambusowych kijów.

Mały Miki — tak nazwał swe lwiątko — warknięciami i skomleniem wyrażał tęsknotę za matką i wolnością. Tomek otworzył drzwiczki klatki i wziął Miki na kolana. Rozumiał tęsknotę lwiątka; przecież sam, nie zastanawiając się nad swym czynem, opuścił rodziców i teraz odczuwał, jak bardzo tęskni za nimi.

W dżungli rozległ się potężny ryk lwa. Tomek mocniej wparł się plecami w leżak, a lwiątko nadstawiło swe małe uszka. Przeróżliwy kwik napadniętej zebry zawtórował okrzykowi króla dżungli. Wkrótce rozległo się wycie i jakby śmiech hien węszących żer. Ucichły wrzaski małp, kłócących się o lepsze miejsce na nocleg na drzewach. Wszystko, co żyło w dżungli, zamierało, gdy lew rozpoczynał swe łowy.

Echa dramatu rozgrywającego się w dżungli przyprawiły Tomka o gęsią skórkę. Zbyt świeże były jeszcze przeżycia minionego dnia. Nie mógł zapomnieć błyskających gniewem ślepiów Lwa i filozoficznego spokoju Tany z włócznie gotową do rzutu. Teraz sam nie rozumiał, jak mógł nie zastosować się do rady pana Browna i nie uciec na drzewo.

Lwiątko polizało go szorstkim języczkiem po rękę. Przytulił je do siebie i uśmiechnął się. Był to już jego lew. Bez jakichkolwiek trudności czy zdziwienia pan Brown wysłuchał jego prośby i pozwolił mu zatrzymać kociaka na własność.

— Należy ci się jako nagroda za odwagę — powiedział podróżnik. — A poza tym masz obowiązek względem niego. Przecież zraniłeś mu matkę. Możesz go zabrać ze sobą do Nowego Jorku.

Od grupy myśliwych siedzących wokół dużego ogniska oddaliła się jedna postać i podeszła do zamyślnego chłopca. Był to Nick.

— Warto by było pomyśleć o spaniu — odezwał się.

— Wcale mi się nie chce spać — odparł Tomek, wkładając lwiątko z powrotem do klatki.

— Radziłbym ci jednak dobrze wypocząć przed jutrzejszym dniem, jeśli chcesz wziąć udział w polowaniu.

— Na co będziemy polowali? — zawołał Tomek zaciekawionym głosem.

— Na słonie.

— Ile słoni musimy upolować do muzeum? — pytał dalej.

— Dwa. Polowanie na słonie nie jest zbyt przyjemne, gdyż często same atakują ludzi. Poza tym są na ogół dość płochliwe i trudno jest je blisko podejść. Dlatego nie wiadomo, jak długo potrwa tropienie i radzę ci dobrze wypocząć.

— Wobec tego pójdę spać — oświadczył Tomek.

Przy wejściu do swego namiotu ustawił klatkę z małym lwem i wyciągnął się na łóżku polowym. Odwieczna pieśń dżungli szybko ukołysała go do snu.

Ranek zastał myśliwych gotowych do drogi. Tak jak poprzedniego dnia towarzyszył im Sambo i dwunastu tubylców. Tym razem cała grupa skierowała się ku pobliskiej rzece.

Gdy znaleźli się na brzegu, Tomek zauważył przygotowane do drogi dwa długie czółna. Zwyczajem krajowym były to łodzie wypalone w pniach drzew.

Nad łożyskiem rzeki pochylały się olbrzymie drzewa, tworząc ponad wodą zielony tunel. Zsunięte w wodę łodzie zakołysały się niebezpiecznie, ale Murzyni sprawnie załadowali się do jednej z nich. Przewodniczył im Tana. Do drugiej łodzi wsiedli pan Brown, Nick, Tomek, Sambo i czterech murzyńskich wiosłarzy.

Odbito od brzegu i łodzie ruszyły w dół rzeki.

Siedząc wygodnie w łodzi, Tomek uważnie obserwował brzegi rzeki. Na przybrzeżnych ławicach piaskowych wylegiwały się liczne stada krokodyli. Niektóre z nich w ogóle nie zwracały uwagi na przepływające łodzie. Co najwyżej leniwie unosiły powieki błyskając żółtymi ślepiami, by zaraz znów zapaść w przyjemną drzemkę. Gdy jednak któraś z łodzi zbyt zbliżała się ku brzegowi, krokodyle wolno unosiły się na szeroko rozstawionych łapach i powłócząc brzuchem po piasku oraz śmiesznie kręcąc środkiem tułowia, ostrożnie zsuwały się do wody. Dopiero po pewnej chwili znikał wystający ponad wodą koniec pyska, wyposażony w potężne szczęki.

— To są dopiero leniwe zwierzęta — odezwał się Tomek, obserwując zabawną powagę krokodyli, z jaką schodziły z brzegu do wody.

— Tak myślisz? — odpowiedział pan Brown. — Poczekaj, zaraz ci pokażę, że potrafiały poruszać się szybciej, niż mógłbyś sobie wyobrazić.

Mówiąc to, wziął do ręki karabin i, wypatrywszy krokodyla śpiącego na lekko wzniesionym brzegu, wymierzył i strzelił. Fontanna piasku wytrysnęła tuż przed nosem drzemiącej bestii.

W mgnieniu oka krokodyl stanął na wyprężonych nogach i, wzięwszy krótki, lecz błyskawiczny rozpęd, skoczył głową naprzód do wody i natychmiast zniknął z pola widzenia.

— Trafiają się nieraz młodzi Murzyni, którzy potrafiały łowić nawet spore okazy gołymi rękami — odezwał się pan Brown. — Taki specjalista wsuwa się do głębokiej nory i wyciąga krokodyla, trzymając go obydwoma rękami za pysk. Kciuki wbite w doły pod oczyma krokodyla i pewność siebie takiego „łapacza” hipnotyzują zwierzę. Krokodyl wydaje jedynie kwilący dźwięk i pozwala się związać w supeł. Skóry tak schwytanych krokodyli są bardziej cenione, gdyż nie mają dziur po kulach.

— To brzmi jak bajka — zawołał Tomek. — Ale przecież wszystko wydaje się tutaj takie niezwykle!

Zachwycony czarującym widokiem brzegów, Tomek doszedł do wniosku, że znacznie przyjemniej jest oglądać dżunglę z czółna, niż przemierzając ją

pieszo. W czółnie było bezpiecznie. Pod uderzeniami wiosel łódź spokojnie płynęła po wartkim nurcie. Podróżnikom nie groziły napaści lwów czy złośliwych słoni. Nawet krokodyle, wylegające się leniwie na ławicach piaskowych, przypominały raczej eksponaty muzealne niż najniebezpieczniejszych mieszkańców wybrzeży.

Prąd wody stał się spokojniejszy. Łodzie opisały wielkie koło i Tomek zauważył, że wpływają na dość duże jezioro, do którego uchodziła rzeka. Teraz płynęli wzdłuż jednego z brzegów, oddaleni od niego o jakieś czterdzieści kroków.

W pobliżu łodzi rozległo się głośnie parsknięcie. Tana uniósł się przy sterze i wołał pana Browna. Wśród Murzynów zapanowało podniecenie.

— Co się stało? — zapytał Tomek, dotykając łokcia Nicka.

— Hipopotamy. Płyną wprost na pierwszą łódź — poinformował go Nick, podczas gdy pan Brown przykłęknął na dziobie łodzi z karabinem w ręku.

Tomek przypomniał sobie olbrzymią górę mięsa, pływającą się w basenie nowojorskiego ogrodu zoologicznego. Za kratą grubości nogi Tomka, olbrzymia paszcza, z czterema potężnymi, tępyimi zębami, wcale nie wyglądała groźnie. Inne jednak odczucie wywołuje spotkanie hipopotamów na otwartych wodach afrykańskiego jeziora.

Z podnieceniem zaczął patrzeć w kierunku, skąd rozlegało się złowróżbne prychnanie. Jest! Widać wielki szary łeb parszkający wodą, a za nim szeroki, tłusty grzbiet.

— Oczywiście! — odezwał się pan Brown. — Jest ich więcej.

Teraz i Tomek zobaczył jeszcze dwa cielska wynurzające się w niewielkiej odległości od pierwszej łodzi. Tymczasem pierwszy hipopotam zniknął pod wodą.

— Co to? — zadziwił się Tomek.

Tył łodzi Tany podniósł się, wykonując w powietrzu niebezpieczne ewolucje.

Tana wrzeszczała jak opętany, a łódź mogła wywrócić się lada chwila.

Wszyscy Murzyni znaleźliby się wówczas tuż przed cielskami pozostałych

dwóch hipopotamów.

Nagle łódź z bryzgiem wody opadła na jezioro. Przez chwilę zdawało się, że pójdzie razem z płynącymi w niej ludźmi pod wodę. Po prawej stronie wynurzył się łeb hipopotama. Tomek zrozumiał, co się stało. Oto hipopotam przepływał pod łodzią i wyrzucił ją swym grzbietem ponad taflę jeziora.

Zanurzenie łodzi znacznie się zwiększyło, co było widowym znakiem, że nabrała wody, a tu właśnie nadpływały jeszcze dwa hipopotamy.

Pan Brown spokojnie uniósł karabin, przyłożył go do ramienia i uważnie wycelował. Padł strzał.

Jeden z nadpływających olbrzymów zniknął pod wodą, ale po chwili jego łeb znów ukazał się na powierzchni. Pan Brown strzelił po raz drugi. Cielsko pogrzyżyło się, by już się nie ukazać oczom podróżników. To poskutkowało, gdyż pozostałe hipopotamy skryły się pod wodą i gdy ukazały się powtórnie, były już po drugiej stronie łodzi Tany.

— No, mieliśmy szczęście! — odezwał się pan Brown.

— Gdyby nie płynął tak głęboko, na pewno wywróciłby łódź.

— Czy pan strzelał tylko po to, aby je przestraszyć?

— zapytał Tomek.

— Owszem. Jak widziałeś, jeden z nich tak się przeraził, że poszedł na dno.

Tomek z nabożnym szacunkiem spojrzał na człowieka, który tak lekko mówił o zabiciu hipopotama dwoma strzałami.

— Czy hipopotam może pożreć człowieka? — zapytał, ochłonawszy ze zdumienia.

— Jeszcze by tego brakowało! — roześmiał się pan Brown.

— Ale chociaż nie pożerają ludzi, nie są to wcale łagodne zwierzęta. Są skłonne do zaczepki i już niejeden człowiek i niejedno zwierzę zginęło zmiążdżone ich potężnymi szczękami lub stratowane. A trzeba wiedzieć, że waga dorosłego hipopotama sięga niekiedy dwóch ton. Sprawilyby nam dużo kłopotu, gdyby wywróciły którąś z łodzi. W takim wypadku łatwo można stracić nie tylko ładunek i broń, ale i życie. Nie martw się jednak, Tomku, mniej jest w jeziorach i rzekach afrykańskich hipopotamów niż samochodów na ulicach Nowego Jorku. Damy sobie z nimi radę.

Tymczasem zrównali się z łodzią Tany, który zaczął ożywioną rozmowę

z podróżnikiem. Gdy dyskusja przedłużała się, a pan Brown wydawał się niezadowolony z jej przebiegu, Tomek zapytał Nicka:

— Czy Murzyni boją się dalej jechać? Przecież już nie widać hipopotamów?

— Nie, mój kochany — odparł Nick z uśmiechem. — Oni tak pokochali hipopotamy, że pragną pozostać na wybrzeżu i czekać, aż zastrzelony zwierz wypłynie na powierzchnię.

— Przecież to niemożliwe, żeby taki ciężar wypłynął!

— Niemożliwe? Jest prawie pewne, że wypłynie. Wszystko zależy od tego, czy nasz hipopotam był najedzony. Nagromadzony w jego żołądku pokarm sfermentuje i gazy wyrzucą go na powierzchnię.

— Nie rozumiem jednak, co z tego przyjdzie naszym Murzynom!

— Och, bo ty nie wiesz, co znaczą dla nich dwie tony mięsa! Taki kąsek, zdobyty bez żadnego ryzyka z ich strony, trafia się im bardzo rzadko. Murzynom nie wolno posiadać broni palnej. Wprawdzie, jak miałeś wczoraj

przykład z Taną, potrafią się bez niej doskonale obchodzić, ale upolowanie hipopotama nie jest takie łatwe.

W tej chwili pan Brown wzruszył niecierpliwie ramionami i odezwał się do Nicka:

— Nie ma rady. Musimy wylądować i czekać, aż wypłynie hipopotam. Mówią, że muszą obejrzeć, czy łódź nie jest uszkodzona, a przy okazji wyłowią hipopotama. Jeśli nie spełnimy ich prośby, będą opieszale tropili słonie. Mniej czasu zmarnujemy, pozwalając im najeść się do syta.

Po chwili łódzie dobiły do brzegu.

Skracając sobie oczekiwanie na wypłynięcie hipopotama, Tomek z panem Brownem i Nickiem poszli śladami pozostałych. Łatwo było je wyśledzić. Pozostawiły głębokie ślady, a raczej doły. Wkrótce odkryli je, pławiące się w małym bajorku. Stały spokojnie, zanurzone w błocie po brzuchy. Myśliwi obserwowali je z ukrycia w otaczających szuwarach. Pan Brown skorzystał z okazji i zrobił kilka zdjęć.

Minęło jednak kilka godzin, zanim wywrócony brzuchem do góry hipopotam wypłynął na powierzchnię. Murzyni podpłynęli do niego łodziami i, przywiązawszy linami za dwie nogi, przyholowali do brzegu. Ponieważ dwunastu Murzynom nie starczyło sił na wyciągnięcie hipopotama na brzeg, pozostawili go zanurzonego do połowy w płytkiej wodzie i zaraz przystąpili do wykrawania i pieczenia tłustego mięsiwa.

Przenocowali w szałasach zbudowanych z gałęzi i listowia, a gdy rankiem łodzie odpływały od brzegu, Murzyni tęsknym wzrokiem spoglądali na ledwo napoczętego hipopotama. Gdyby nie stanowcza postawa pana Browna, na pewno siedzieliby tak długo na miejscu, aż cały hipopotam zniknąłby w ich przepastnych brzuchach.

Kiedy po kilku godzinach łodzie przybiły do brzegu i wkroczyli w dżunglę, Murzyni od razu natrafili na świeże ślady słoni. Słonie były jednak zbyt czujne, aby można je było podchodzić w licznej grupie, robiącej wiele hałasu. Dlatego też pan Brown zarządził rozbicie obozu na małej łączce, na której pozostawił Murzynów z Tomkiem, a sam z Nickiem i Sambo wyruszył na zwiad.

Początkowo Tomek czuł się zaszczycony wyróżnieniem podróżnika, bo przecież pozostawiono go, aby pilnował dwunastu rosnących Murzynów, ale ta rola szybko mu się sprzykrzyła. Objedzeni Murzyni poukładali się pod

drzewami i natychmiast usnęli. Tomkowi zaczęło się nudzić, gdy wtem do jego głowy wkradło się podejrzenie.

Czyżby pan Brown pozostawił go w obozie, żeby nie przeszkadzał w tropieniu słoni? Przecież lepiej niż kto inny znał zwyczaje Murzynów i wiedział, że usną natychmiast, gdy opuści obóz.

— Kogo mam tu pilnować, jeśli wszyscy śpią jak zabici?

— zastanowił się Tomek. — O ile pan Brown użył tak śmiesznego pretekstu, aby mnie zostawić w obozie, muszę pokazać, co jestem wart!

Cicho podniósł się z ziemi i, wzięwszy karabin do ręki, zaczął rozglądać się wokoło.

— Myśliwi poszli na południe — myślał. — Tymczasem ścieżka słoni prowadzi przez łączkę prosto na północ. Czyżby tacy myśliwi mogli ją przeoczyć? Tym lepiej!

Wkroczył na ścieżkę zagłębiającą się w dżunglę. Nie, nie może zabłądzić, jeśli będzie trzymał się tej ścieżki. Odważnie posunął się naprzód kilkadziesiąt kroków. Nie było już widać łączki. Zakrywała ją zbita ściana drzew i krzewów, ale ścieżka była doskonale widoczna. Ostrożnymi krokami posuwał się naprzód. Kilka razy ujrzał małe małpy baraszkujące na ziemi, które z piskiem uciekały na jego widok.

— Jeśli nie znajdę słoni, to przynajmniej schwytam sobie taką małpę

małpkę. Mógłbym ofiarować ją siostrze — pomyślał Tomek, idąc wciąż naprzód.

Ścieżka zatoczyła małe półkole i Tomek ujrzał, że las urywa się nagle i przechodzi w step, usiany rozłożystymi drzewami. Dróżka rozpływała się w oceanie żółtych traw.

— Dalej już nie pójdę, gdyż nie ma ścieżki — postanowił.

Już miał zamiar zawrócić do pozostawionych w dżungli Murzynów, gdy wtem nieoczekiwany widok przykuł jego uwagę.

Oto nie dalej jak o pięćdziesiąt kroków, w cieniu rozłożystego drzewa stał słoń. Długa trąba wykonywała wolne, wahadłowe ruchy, a olbrzymie uszy poruszały się miarowo. Kilka małych, szarych ptaszków siedziało na grzbiecie słonia i wydłubywało pasożyty, gnieźdzące się w jego skórze.

Serce zatrzepotało radośnie w piersi Tomka. Tacy sławni podróżnicy jak pan Brown i Nick na próżno tropili słonie, a on, mały Tomek, zaledwie

wyszedł z obozu, od razu trafi! na taki wspaniały okaz! Jeśli uda mu się upolować słoń na własną rękę, na pewno zyska uznanie swych towarzyszy.

Zaczął się zastanawiać, w które miejsce należy mierzyć, aby powalić słońca. Przecież jeśli go tylko postrzeli, może znaleźć się w wielkim niebezpieczeństwie. Nick mówił, że ranny słoń staje się bardzo groźny dla wszystkiego, co napotka na swej drodze. Które tu więc miejsce wybrać w tym olbrzymim cielsku?

— Już wiem! — uradował się Tomek. — Jak to Nick mówił? Należy mierzyć pomiędzy oko a ucho lub też trochę powyżej pierwszej zmarszczki trąby.

Tak, to takie proste, tylko że wcale nie widać oka! Podkraść się jeszcze bliżej. Ze zdumieniem stwierdził, że słoń ma oczy przymknięte i... śpi. Stał w cieniu drzewa i po prostu spał. Co za wspaniała okazja! Przecież nie musi nikomu się przyznać, że zabił śpiącego słońca!

Podszedł już tak blisko, że słoń był oddalony od niego najwyżej o pięć kroków. Ptaszki poderwały się z piskiem, lecz słoń spał w dalszym ciągu. Już miał zamiar złożyć się do strzału, gdy pojawiły się nowe trudności. Słoń był bardzo wysoki, trzeba więc było mierzyć w górę, co sprawiało, że nawet bliski strzał mógł być niepewny.

— Co tu zrobić, aby nie zmarnować tak wyjątkowej okazji? — zafrasował się mały myśliwy.

Nagle przyszedł mu do głowy nowy pomysł. Gdyby wdrapał się na drzewo, w którego cieniu słoń odbywał swą drzemkę, mógłby znaleźć się na wysokości jego oka.

— Tak, to doskonała myśl! — Ucieszył się Tomek. — Tym sposobem będę bezpieczny, nawet gdyby słoń nie padł po pierwszym strzale. Muszę jednak wejść na drzewo, nie wywołując najmniejszego szmeru.

Krok za krokiem, nie spuszczać oka ze słonia, podszedł do drzewa. Serce waliło mu w piersi jak młot. Słoń znajdował się tak blisko, że mógł go dotknąć ręką. Długa trąba kołysała się miarowo...

Tomek oparł karabin o pień i usiadł na trawie. Musiał zdjąć buty, aby cicho wdrapać się na drzewo. Już zdjął jeden but i zabierał się do zdejmowania drugiego, gdy coś upadło na ziemię obok niego. Spojrzał i zastygł bez ruchu. Tuż przed nim prężyła się wielka żmija. Łeb gada znajdował się na wysokości jego głowy i spoglądał na niego oślizgłymi,

zimnymi ślepiami. W rozchylonych szczękach tkwiły potężne zęby, których jad niósł śmierć. Mimo przerażenia Tomek zdawał sobie jasno sprawę ze swej sytuacji. Nie mógł nic zrobić dla swego ocalenia, a wokół nie było żywej duszy. Był tylko on, o kilkanaście centymetrów od jego twarzy sterczał łeb gada, którego zwinięte w trawie cielsko drgało z niecierpliwości, a z boku stał olbrzymi, dziki, śpiący słoń... Był zgubiony.

Tomek nie mógł sobie później przypomnieć, jak długo znajdował się w tej tragicznej sytuacji. Może trwało to sekundy, a może godzinę, gdy nagle jakiś czarny przedmiot przemknął przed jego oczyma i kilkumetrowa żmija śmignęła w górę.

Tomek spojrzął za nią i oniemiał ze zdumienia. Żmija wiła się w powietrzu, w potężnym uścisku trąby słonia. Potem trąba zgięła się ku dołowi i gad uderzył o ziemię. Mordercze to musiało być uderzenie, gdyż tuman kurzu uniósł się w powietrze, a ziemia wydała głuchy odgłos. Słoń zdawał się bawić zdumieniem Tomka. Waląc żmiją o ziemię, spoglądał na niego filuternie, aż w końcu, wzięwszy rozmach, cisnął swój łup daleko od siebie.

Żmija opisała w powietrzu wielki luk i spadła w krzewy. Rozległ się wrzask kilku głosów i z krzaków wybiegli trzej myśliwi.

Tymczasem słoń zatrzepotał uszami i lekko, jakby ważył zaledwie kilka kilogramów, pobiegł w kierunku lasu. Tomek zdziwił się, widząc wzburzone twarze myśliwych.

— Co ty tu robisz, zatracony chłopcze?! — wrzasnął pan Brown, stając

przed siedzącym pod drzewem Tomkiem.

Zmieszany surowym wzrokiem i tonem pana Browna, Tomek podniósł zdjęty uprzednio but i, zakładając go, odparł:

— Chciałem zabić tego słonia i na pewno by mi się udało, gdyby nie ta idiotyczna żmija, która spadła z drzewa i obudziła słonia.

— Idiotyczna żmija! — krzyknął pan Brown. — Jedno dotknięcie zębów tej „idiotycznej” żmii mogło wyprawić cię na tamten świat. Byłby z tego przynajmniej ten pożytek, że nie utrudniałbyś mi pracy. To była afrykańska kobra! Czy ty wiesz, co to jest kobra?!

Tomek nie był pewny, czy zdaje sobie sprawę z tego, co to jest kobra, o którą pan Brown robił taką awanturę, ale wolał w tej chwili nie wszczynać dyskusji. Z kłopotu wybawił go Nick, który rzekł do pana Browna:

— Przestań krzyczeć, bo chciałbym o coś zapytać Tomka.

Pan Brown uspokoił się w jednej chwili, a Nick zapytał:

— Chciałeś zapolować na słonia?

Tomek w milczeniu kiwnął głową.

— Ślicznie, ja bym też to zrobił na twoim miejscu, ale powiedz mi, dlaczego opuściłeś obóz? Przecież miałeś pilnować naszych Murzynów?

— Oni śpią jak kamienie. Wątpię nawet, czy obudziły ich panów krzyki — odparł Tomek, spoglądając złośliwie na myśliwych. W jego mniemaniu krzyk ich spowodowany był przestraszeniem na widok spadającej na nich żmii. Nie świadczyło to zbyt pochlebnie o tak sławnych ludziach, zabijających dwoma strzałami hipopotama.

— Aha, myślisz, że trochę za głośno krzyczeliśmy na widok spadającej na nas kobry — odparł Nick, jakby czytając w jego myślach.

— Uhum... — mruknął Tomek dyskretnie.

— Pogadamy i o tym, tylko przedtem powiedz nam z łaski swojej, po co niby, polując na słonia, siadasz sobie przy nim na ziemi i zdejmujesz buty?

— Przecież nie jestem taki wysoki jak pan Brown, żebym stojąc na ziemi, mógł widzieć oko słonia. Chciałem wejść po cichu na drzewo i dlatego zdejmowałem buty.

— I tylko „idiotyczna” kobra popsuta ci wielkie łowy?

— Przecież panowie byli schowani w krzakach i wszystko widzieli...

Ale pan Brown ponownie stracił cierpliwość i skrzyczał Tomka za opuszczenie obozu podczas ich nieobecności.

— Właśnie byliśmy na tropie tego słonia i podchodziliśmy go pod wiatr

— mówił zdenerwowany pan Brown. — Już ustawiliśmy się do strzału, gdy wtem wylazłeś z krzaków i wbrew zdrowemu rozsądkowi podszedłeś do słonia. Nie chcieliśmy wołać na ciebie, bo mieliśmy nadzieję, że roztropność weźmie górę nad lekkomyślnością. Nigdy nie można przewidzieć, czy przestraszony słoń zaatakuje, czy zejdzie z drogi. A potem ta przeklęta kobra spadła z drzewa... Słonia obudziło jej pacnięcie na ziemię. Na szczęście odrzucił ją od ciebie. Krzyczeliśmy, żeby spłoszyć słonia, który mógł za chwilę i ciebie wyprawić w powietrzną podróż. Dobrze, że udało nam się go spłoszyć, bo inaczej...

Pan Brown trząsł się z oburzenia, więc Tomek nie nalegał, aby dokończył rozpoczęte zdanie. Mimo to przewinienie nie uszło mu na sucho, bo pan Brown, uspokoiwszy się ze złości, powiedział:

— Zostaniesz ukarany za nieposłuszeństwo. Jeśli tak dalej pójdzie, nie tylko sam zginiesz, ale i nas wszystkich narazisz na niebezpieczeństwo. Za karę... przez cztery dni nie będzie ci wolno brać udziału w polowaniach.

Pan Brown dotrzymał słowa. Polowanie na słonie trwało około pięciu dni, a przez ten czas Tomek siedział w obozie pod strażą Sambo. Murzyn musiał otrzymać bardzo surowe instrukcje, gdyż pokonując bohatersko ziewanie, nie zdrzemnął się ani razu, pełniąc straż przy Tomku.

Po pięciu dniach dwie skóry słoni, umiejętnie poćwiartowane i spreparowane przez Murzynów, spoczęły w długich łodziach. Siedząc w obozie pod czujnym okiem Sambo, Tomek nie widział polowania na słonie. Toteż z wielką ulgą powitał dzień, w którym kończyła się jego kara.

WW WWIIOOSSCEE PPIIGGMMEEJJÓÓWW

Minął tydzień od pamiętnego polowania na słonie. Wprawdzie pan Brown nie okazywał już Tomkowi gniewu, ale za to roztoczył nad nim czujną opiekę. Sambo powierzono stały dozór nad chłopcem i trzeba przyznać, że wywiązywał się gorliwie ze swojej roli. Nawet w czasie pobytu w obozie Murzyn snuł się za Tomkiem jak cień.

Oczywiście Tomkowi bardzo się to nie podobało i już zaczął snuć plany, jakby pozbyć się niepożądanego opiekuna, gdy doszły go słuchy, że pan Brown projektuje wyprawę do okolic zamieszkiwanych przez Pigmejów. Następnego dnia rozprawiano już o tym przy wieczornym ognisku. Opędzając się od natrętnych komarów, Tomek wsłuchiwał się chciwie w słowa pana Browna. Mianowicie chciał on pozostawić Nicka i Sambo z większością Murzynów dla dalszych łowów i fotografowania zwierząt, a sam, w najlżejszym samochodzie, miał wyruszyć ku wioskom afrykańskich „kartów”.

Tomek bardzo się zapalił do tej wyprawy. Oczywiście o wiele ciekawsze byłoby przemierzanie przeszło dwóch tysięcy kilometrów po nieznanymi okolicach, niż pozostawanie w obozie pod opieką pełnego przesądów Sambo. Na przykład Murzyn ubzdurał sobie, że małe lwiątko Tomka zagraża bezpieczeństwu obozowiska.

— W nim siedzieć wielki i złośliwy czarownik — tłumaczył Sambo Tomkowi. — Któregoś dnia spłatać nam paskudnego figla. Najlepiej dać go pożreć hienom.

— Głupi jesteś, Sambo — odpowiadał Tomek. — Mnie także wzięłeś za ducha, gdy nastraszyłem cię na statku.

— I Sambo nie pomylić się — mówił Murzyn. — W tobie też siedzieć jakiś niedobry duch. Dobrze, że zwierzęta lubić twój ducha. Ale my mieć jeszcze kłopot przez ciebie. Szkoda, że ty się nie udusić pod łóżkiem w kajucie. Sambo już by się udusić, jakby tak długo być pod łóżkiem, ale ciebie kochać złe duchy. Ty dać Sambo tego lwa, a Sambo zanieść go do dżungli.

Zrazu Tomek obawiał się o swego pupila, ale wkrótce znalazł sposób, by mu zapewnić spokój.

— Słuchaj, Sambo — odezwał się pewnego dnia. — Miałeś rację, że w małym lwie siedzi zły czarownik. Moje duchy pomogły mi słyszeć, jak lew rozmawia z czarownikiem.

— Co te duchy mówić? — zaciekał się przesądny Sambo.

— Musisz uważać na siebie, gdyż czarownik siedzący w lwie jest zły na ciebie. Powiedział, że jeśli będziesz go źle karmił i bił, to sprowadzi na ciebie trzy lamparty, które rozerwą cię na drobne kawałki i dadzą lwu do zjedzenia.

Sambo ogromnie zafrasował się tą niewesołą wróżbą, ale po chwili twarz mu się rozjaśniła i zapytał:

— A jeśli Sambo dać mu dobrze jeść i nie bić go?

— To czarownik nie pozwoli, aby spotkała cię jakakolwiek krzywda.

— To dobrze. Ty powiedz duchom, mister Tomek, że Sambo bardzo kochać tego małego lwa i nie bić go, nie bić ani trochę.

Sprawa została załatwiona w dyplomatyczny sposób i lewkowi nie groziło już nic złego ze strony Sambo, ale Tomek miał dość jego towarzystwa. Tym chętniej więc nadstawiał ucha, czy nie usłyszy, co pan Brown ma zamiar z nim zrobić na czas wyprawy do wiosek Pigmejów.

Było już bardzo późno, gdy pan Brown spojrzął na niecierpliwącego się Tomka i odezwał się do niego:

— A co też ma zamiar robić nasz kochany łowca śpiących słońi?

Głos podróżnika brzmiał przychylnie i wesoło.

Tomek od razu wyczuł tę zmianę i postanowił wypowiedzieć swą prośbę.

— Chciałbym pojechać zobaczyć Pigmejów, tylko żeby pan Nick był łaskaw pilnować mojego lwiątko.

— Przecież Sambo osobiście dogłada kociaka, więc nie stanie mu się krzywda.

— Ja tylko tak na wszelki wypadek... Co do Sambo, on musi pilnować lwiątko, jeśli...

— Co za „jeśli”? — zaciekał się podróżnik.

— On już wie, co mam na myśli.

— Sambo dobrze pilnować tego małego czarownika — skwapliwie potwierdził Sambo.

Pan Brown i Nick roześmiali się. Znali słabostki swego wiernego pomocnika i domyślili się, że Tomek musiał go czymś nastraszyć.

— Więc chciałbyś pojechać do Pigmejów — zaczął pan Brown po chwili. — Myślę, że będzie najlepiej, jeśli cię zabiorę ze sobą.

Przygotowania do podróży trwały całą noc. Po sprawdzeniu i zatankowaniu samochodu, naładowano go żywnością. Oprócz tego pan Brown zabrał pewną ilość soli i dużo różnych świecidełek.

O świcie pan Brown, Tomek i sześciu Murzynów wsiedli do ciężarówki i ruszyli w kierunku Nairobi. Tam przenocowali, a rankiem obrali kierunek północno–zachodni. Po dwudniowej, męczącej jeździe zatrzymali się w Entebbe, leżącym na północnym brzegu jeziora Wiktorii. Tomek nie miał sposobności, by przyrzeć się tym afrykańskim miastom. Zmęczony całodzienną jazdą i upałem kładł się natychmiast spać, a rankiem rozpoczynano dalszą jazdę.

W Entebbe dzieliło ich już zaledwie trzysta kilometrów od granicy z belgijskim Kongiem, na którego pograniczu rozciągały się lasy Ituri, zamieszkiwane przez Pigmejów. Na wybrzeżu jeziora Alberta zatrzymali się w Mahagi, małej belgijskiej placówce granicznej.

Pan Brown miał sporo kłopotu z Tomkiem, który nie posiadał dokumentów. Urzędnik był w nie lada kłopotcie. Miał dać zezwolenie na wjazd do posiadłości belgijskich, a nie mógł stwierdzić tożsamości małego podróżnika. Jednak nazwisko pana Browna, jak i opowiedziana przez niego historia Tomka zrobiły swoje. Wszyscy otrzymali zezwolenie na przekroczenie granicy.

Znów rozpoczęła się jazda samochodem. Po kilku godzinach ukazały się lasy Ituri. Niezbyt wygodna, ale jeszcze wcale dostępna dla samochodu droga dawno się skończyła. Teraz jechali bezdrożami, często zawracając i kołując. Tereny obfitowały w słonie. Co pewien czas Tomek widział stada liczące po kilkaset sztuk. Tu i ówdzie napotymano wioski murzyńskie. Ludność tych osiedli nie kwapiła się wcale z wybieganiem na spotkanie podróżnikom. Niepokoił ją samochód, który najprawdopodobniej był pierwszym widzianym przez nich pojazdem mechanicznym.

W końcu na skraju olbrzymiego lasu pan Brown dał znak i samochód się zatrzymał.

— Wioski pigmejskie powinny być w pobliżu — wyjaśnił Tomkowi. —
Musimy rozbić obóz, a ja wraz z dwoma Murzynami wyruszę w okolicę na
wiad. Ty pozostaniesz z resztą naszych ludzi i będziesz pilnował samochodu

i ładunku. Gdy odnajdę pierwszą wioskę, będę próbował zawrzeć przyjaźń z Pigmejami. Gdy mi się to uda, wówczas będziesz mógł pójść ze mną przyjrzeć się im.

— Dobrze, proszę pana — odparł Tomek.

Jednak pan Brown musiał mieć pewne obawy, gdyż, przyjrzawszy mu się uważniej, powiedział:

— Słuchaj Tomku! Nie zrób znów jakiegoś głupstwa, bo to mogłoby nas drogo kosztować. Pigmeje są jeszcze dość dzicy i niejeden podróżnik zapłacił życiem za chęć przyjrzenia się ich wioskom. Dlatego też nie wolno ci się oddalić od samochodu ani na jeden krok. Ty jeden umiesz obchodzić się z bronią palną i na tobie spoczywa główny ciężar dopilnowania samochodu z całą jego zawartością. Nie spodziewam się jakiejś napaści, ale ostrożność nie zawadzi. Nieobecność moja potrwa najwyżej dzień.

— Może pan być spokojny, nie oddalę się od samochodu — odrzekł Tomek.

Nazajutrz raniem pan Brown udał się z dwoma Murzynami na poszukiwanie wioski. Gdy odeszli, Tomek usiadł na stopniu samochodu, napuszony jak paw. Oto był dowódcą czterech Murzynów, a widomym znakiem jego władzy był oparty o samochód karabin. Wprawdzie Murzyni nie zwracali na niego uwagi, ale to go nic nie obchodziło.

Okolo południa polecił przygotować obiad. Nie chciało mu się jeść, ale

przecież to tak przyjemnie móc wydawać polecenia! Już miał zasiać do
obiadu, na który wcale nie miał apetytu, gdyż było bardzo gorąco i parno, gdy
Murzyni zaczęli krzyczeć podnieconymi głosami:

— Leśni ludzie! Karły!

Tomek uniósł głowę i spojrzał obojętnie, jak to zwykł czynić w
podobnych okolicznościach pan Brown, lecz ujrzawszy krąg Pigmejów,
idących ku samochodowi z lukami w rękach, natychmiast stracił całe
dostojeństwo i wskoczył do szoferki.

Teraz dopiero uważniej przyjrzał się tubylcom. Pan Brown miał
słuszność, mówiąc, że należy zachować czujność. Pigmeje wcale nie
wyglądali zachęcająco. Ani jeden z nich, jak Tomek ocenił na oko, nie
dorównywał mu wzrostem. Byli nadzy; tylko kawałki szmat czy liści plątały
się im wokół ud. Nad przepaskami wznosiły się mocno wysadzone ku

przodowi brzuchy. Wielu z nich miało pałąkowate nogi, a prawie wszyscy trzymali w rękach napięte łuki.

Pigmeje otoczyli samochód zwartym kołem, a jeden z nich zaczął dziwacznie bełkotać i wymachiwać ręką, wskazując to na siebie, to na samochód.

— Czego oni chcą? — zapytał Tomek swych Murzynów, którzy za jego przykładem ukryli się w samochodzie.

— Oni chcą, żeby mister Tomek wyjść do nich — odpowiedział jeden z Murzynów, znający narzecze Pigmejów.

— A po co mam do nich wyjść?

— Oni chcą obejrzeć mister Tomka.

— Powiedz im, żeby poszli do lasu oglądać małpy! — oburzył się chłopiec.

Murzyn powtórzył to Pigmejom, być może z jakimś dodatkiem od siebie, bo zaczęli groźnie krzyczeć i grozić lukami.

— Co oni mówią? — zaniepokoił się Tomek.

— Oni mówią, że oni małpy oglądać co dzień, a człowieka, co mieć takie czerwone włosy, oni widzieć po raz pierwszy. Dlatego mister Tomek iść

do nich albo oni strzelać i nas zabić.

Usłyszawszy to, Tomek zarepetował karabin, lecz czterej Murzyni krzyknęli chórem, żeby nie ważył się strzelać.

W duszy Tomek przyznawał im rację. Byli otoczeni setką lub liczniejszą gromadą Pigmejów i nawet gdyby udało mu się zabić kilku z nich, reszta naszpikowałaby ich strzałami. Tymczasem tubylcy zaczęli się niecierpliwie i coraz groźniej potrząsać łukami.

— Mister Tomek iść do nich — doradził któryś z Murzynów.

— Oni patrzeć na mister Tomka, a tymczasem pan Brown wrócić.

Tomek wygrzebał się z szoferki i przerzuciwszy karabin przez ramię wyszedł do Pigmejów. Przyglądali mu się z wielkim zainteresowaniem i wymieniali między sobą głośne uwagi. Nagle jeden z nich podskoczył i pociągnął Tomka za włosy.

Tego było już Tomkowi za wiele. Pigmej dorastał mu zaledwie do ramienia, a chłopiec był bardzo czuły na punkcie swych rudych włosów.

Nieraz już musiał staczać walki ze swymi rówieśnikami, dokuczającymi mu z ich powodu.

Obrażony, nie namyślając się wiele, uderzył Pigmeja pięścią w szczękę.

Mały człowieczek runął na ziemię i zaczął krzyczeć, jakby go obdzierano ze skóry. Na to kilkunastu Pigmejów otoczyło Tomka zwartym kołem i zaczęło go pchać w stronę lasu.

— Czego oni chcą? — krzyknął Tomek do swych Murzynów.

— Mówią, że mister Tomek zabić ich brata, więc oni brać mister Tomka do wioski — padła odpowiedź.

— Nie pójdę z nimi! Czegóż się gapicie? Nie dajcie mnie!

— Oni mieć zatrute strzały!

— A ja mam karabin!

Lecz nie było mowy o zrobieniu użytku z karabinu. Zwarty krąg Pigmejów otaczał Tomka tak mocno, że chłopiec nie mógł wykonać najmniejszego nawet ruchu.

— Pan Brown zabronił mi oddalać się od samochodu!

— zawołał zrozpaczonym tonem.

— My powiedziec, że mister Tomek iść, żeby ratować wszystkich — pocieszali go Murzyni. — Pan Brown zrobić z nimi porządek!

— Powiedzcie panu Brownowi, żeby mnie ratował! — odkrzyknął

Tomek i poddał się losowi.

Pigmeje wprowadzili go w dżunglę. Inny to był las niż w okolicach Kilimandżaro. Olbrzymie drzewa tworzyły jakby długie korytarze. Tomek nawet nie zdawał sobie sprawy, że przechodzi obok stuletnich, cennych mahoni i innych szlachetnych gatunków drzew, poszukiwanych na rynkach całego świata. W tej oddalonej od cywilizacji dżungli nie były one warte nawet garstki soli. Lecz Tomek nie myślał w tej chwili ani o mahoniach, ani o niczym innym w ogóle, tylko o samym sobie.

— Co oni mają zamiar ze mną zrobić? — głowił się, to znowu martwił, czy pan Brown znów nie skarci go za oddalenie się od samochodu.

Po godzinie doszli do małej wioski, otoczonej palisadą z zaostrzonych u góry pali. Wprowadzono go na placyk otoczony małymi domkami.

Rój brzuchatych dzieci i brzydkich kobiet otoczył Tomka. Dotykano go z nabożną powagą, wykrzykując głośno ze zdumienia.

Tomek poczuł się nieswojo w półnagim tłumie, a tymczasem tubylcy stawali się coraz śmielsi. Dotykano go ze wszystkich stron, a co odważniejsi ciągnęli go za rude włosy.

— Niech się dzieje, co chce — pomyślał Tomek. — Nie pozwolę się oglądać jak zwierzę w zoo.

Odsunął więc Pigmejów i zdjął karabin z ramienia. Nie mierząc, wypalił w górę.

Pac!

U stóp Tomka leżała małpa z przestrzeloną głową.

Na huk strzału Pigmeje rzucili się brzuchami na ziemię, lecz gdy małpa upadła tuż przy Tomku, rozległ się krzyk zachwytu.

Wkrótce zachwyty zmienił się w burzliwą owację. Siłą zaprowadzono go przed jeden z szałasów i jakiś stary Pigmej wygłosił dłuższe przemówienie, z którego Tomek nie rozumiał ani słowa. Potem polecono mu obejrzeć domostwo. Domyślał się, czego chcą od niego, z ich gestów. Ujrzał wewnątrz małej murzyńskiej chaty, na której ścianach wisały małe luki i strzały. W rogu leżały maty, służące zapewne za posłanie. Kiedy Tomek wyszedł przed chatę, poproszono go, by spoczął.

Siadł więc przed chatką i oparł się o nią plecami. Chwilę później kilka kobiet zaczęło znosić i układać u jego stóp całe naręczka różnych owoców, a potem gliniane misy, pełne jakichś dziwacznych potraw. Rozgorączkowany swoją przygodą, Tomek czuł od dawna pragnienie, więc po chwili wahania wyciągnął rękę, wybrał najsoczystszy z owoców, przypominający jabłko i zaczął zajadać ze smakiem. Rozległ się chór zadowolonych głosów. Tomek

poważnie pokiwał głową i jadł dalej. Postanowił niczym nie drażnić dzikich, którzy, jak do tej pory, nie uczynili mu najmniejszej krzywdy. Musiał poddać się swemu losowi aż do chwili, gdy pan Brown wybawi go z tego dziwnego położenia.

Nagle, jak to się zwykle działo w najbardziej kłopotliwych dla niego momentach, zjawił się pan Brown z dwoma Murzynami. Na jego widok rozstąpił się krąg Pigmejów i rozległ szmer głosów.

Pan Brown stanął przed Tomkiem, uważnie mu się przyjrzał, a widząc, że ma usta pełne jedzenia, roześmiał się i powiedział:

— Nie zrobili ci krzywdy?

— Nie — odparł Tomek, podnosząc się z ziemi — ale dobrze, że pan już przyszedł, bo nic nie rozumiem, co oni do mnie mówią i czego w ogóle chcą. Ja tu nie przyszedłem z własnej woli, nasi Murzyni obiecali wszystko panu powiedzieć...

— Wiem już wszystko i zaraz porozmawiam z kacykiem — odparł pan Brown łagodnie, lecz gdy przemówił do Pigmejów, głos jego był dość ostry.

Rozmowa trwała bardzo długo. W końcu pan Brown wziął z rąk jednego ze swych Murzynów skrzyneczkę i zaczął rozdawać Pigmejom koraliki, świecidełka, lusterka i woreczki wypełnione solą.

Dopiero teraz zwrócił się do Tomka:

— Niewiele brakowało, abyś został ich wodzem.

— Ja? Dlaczego?

— Spodobałeś im się ze względu na kolor włosów i odwagę. Podobno zabiłeś dla nich małpę?

— Wcale nie zabijałem dla nich małpy. To był zwykły przypadek.

Tomek opowiedział panu Brownowi wszystko, co wydarzyło się po jego odejściu od samochodu.

— Już nie będziesz miał z nimi kłopotu — śmiał się podróżnik. — Oni chcieli cię zachęcić do pozostania w wiosce i ofiarowywali ci naczelne stanowisko w swojej gromadzie. No, a teraz możemy wrócić do samochodu — oświadczył. — Jutro odwiedzimy kilka wiosek i przyjrzymy się życiu Pigmejów.

Szybko minęły cztery dni na zwiedzaniu wiosek pigmejskich. Pan Brown nakręcił film i zrobił wiele zdjęć aparatem fotograficznym, a Tomek obserwował małych ludzi. Posiadali swoisty spryt. Z zadziwiającą zręcznością potrafili upolować nawet duże zwierzęta ze swych małych łuków, postępując się zatrutymi strzałami. Szczególnie zaciekał go sposób budowania powietrznych mostów ponad licznymi rzekami. Otóż, jeśli na drodze Pigmejów znajdowała się rzeka, budowali ponad nią most zawieszony na dużych drzewach, rosnących po obydwu brzegach. Jeden z tubylców, rozbudowany na sznurze z lian, przelatujący nad rzeką i zaczepiał sznur o gałąź drzewa stojącego na drugim brzegu. Po tej linii przechodzili inni i szybko budowali most, składający się z linowej drabinki. Tomek nigdy nie odważył się przejść po takim moście. Jeden nieuważny krok groził upadkiem z wysoka w nurt rzeki pełnej krokodyli. A tu nawet dzieci swobodnie poruszały się nad wodą.

Jakkolwiek było tu dużo innych ciekawych rzeczy do obejrzenia, Tomek z ulgą przyjął wiadomość, że ruszają z powrotem do obozu u stóp wygasłego wulkanu.

Długą jazdę samochodem urozmaicał pan Brown opowiadaniem o Pigmejach, których pochodzenie i sposób życia nie są jeszcze dokładnie zbadane. Większość mieszka w głębi olbrzymich lasów. Ich domostwa to przeważnie szałas, które przypominają raczej legowiska zwierzęce niż siedziby ludzkie. Trudnią się myślistwem i zbieraniem owoców leśnych, które wymieniają na produkty rolnicze i narzędzia z sąsiadującymi szczepami uprawiającymi rolę.

Mimo że wzrost dorosłego Pigmeja nie przekracza stu dwudziestu centymetrów, wojownicy innych szczepów unikają starć z nimi. Walka w gąszczu leśnym z Pigmejami, używającymi zatrutych strzał, nie należy do łatwych i nawet najśmielsi wojownicy innych szczepów zwykle trwożliwie uciekają przed nimi.

W stosunku do obcych, a szczególnie do białych ludzi, Pigmeje są na ogół bardzo nieufni. Jeszcze do niedawna na wieść o pojawieniu się białego człowieka ludzie zaszywali się w gąszczu leśnym, nie pozwalając się do siebie zbliżyć. Dopiero w miarę przenikania urzędników belgijskich w głąb kraju, przekonali się, że biali nie są ich wrogami. Dlatego też pan Brown i Tomek mieli możliwość zwiedzenia kilku wiosek mieszczących się na skraju dżungli. Do dziś jednak są w belgijskim Kongu tereny, na których nie stanęła jeszcze stopa białego człowieka.

Słuchając opowiadań pana Browna, Tomek dowiedział się ciekawych rzeczy o różnych ludach murzyńskich. Zdziwiony jego wiedzą o zwyczajach i obyczajach różnych ludów powiedział:

— Ileż musiał pan podróżować, aby zdobyć tyle wiadomości!

Podróżowałbym całe życie, aby to wszystko wiedzieć. Przecież nie ma chyba nic ciekawszego od poznania ludzi mieszkających w różnych częściach świata.

— Nie potrzebujesz podróżować całe życie, aby dowiedzieć się tego wszystkiego — odparł pan Brown. — Jeśli przeczytasz uważnie podręcznik geografii, na pewno znajdziesz w nim część tego, co ci mówiłem.

— No, może, ale pan zdobywał te wiadomości podróżując!

— Mylisz się. Gdybym nie uczył się pilnie geografii w szkole i później, nie mógłbym opowiedzieć ci tyle o Pigmejach. Aby odnieść korzyść z podróżowania, należy mieć trochę rzetelnej wiedzy, którą zdobywa się w szkole.

SSEERRCCEE TTOOMMKKAA

Ostatnia rozmowa z podróżnikiem pchnęła myśli Tomka na nowe tory.

Zrozumiał, że zdobycie podstawowych wiadomości w szkole jest potrzebne każdemu człowiekowi. Do tej pory wyobrażał sobie, że podróżnik musi mieć tylko odwagę i pieniądze, a tymczasem okazało się, że nawet nie posiadając środków do podróżowania po świecie, można się o nim dużo dowiedzieć.

Zawstydził się swej ucieczki z domu. Przecież gdziekolwiek się ruszył, nieuctwo dawało mu się we znaki.

Z niepokojem myślał o tym, że podróżowanie po Afryce dobiega końca.

Trzeba było wracać do domu. Jak też odniosą się do niego rodzice?

Jak się wkrótce okazało, odpowiedź na to pytanie miał otrzymać w Nairobi. Ponieważ było to najbliższe od obozowiska miasto, pan Brown polecił wysłać tam całą swą korespondencję. Wracając z krainy Pigmejów, zatrzymali się w Nairobi kilka godzin. Pan Brown otrzymał całą paczkę listów. Jeden z nich pochodził od rodziców Tomka i zawierał również sporą kartkę przeznaczoną dla Tomka.

— Masz tutaj kilka słów od rodziców — powiedział podróżnik, podając Tomkowi gęsto zapisany arkusz papieru.

Tomek grzecznie podziękował i chyłkiem wyniósł się przed dom
urzędnika kolonialnego, u którego zatrzymali się w Nairobi.

Usiadł pod drzewem, ale nie kwapił się z wyjęciem listu z kieszeni. Nie
oczekiwał przyjemnych wiadomości. Rodzice musieli być na niego
zagniewani, bo pan Brown po przeczytaniu części listu od nich, ani jednym
słowem nie dodał mu otuchy. No tak! Rodzice mieli powód do gniewu.

Drżącymi rękoma wydobył wreszcie list z kieszeni.

„Kochany i Niedobry Chłopcze!

Depesza, a za nią list otrzymany od Twego szlachetnego, przypadkowego
Opiekuna sprawiły nam wszystkim wielką radość. Niestety, dopiero z nich, w
cztery tygodnie po Twoim zniknięciu z domu, dowiedzieliśmy się, co się z Tobą
stało. Przez ten czas, na naszą prośbę, policja Stanów Zjednoczonych szukała
Cię jak igły w stogu siana. Sprawiliśmy nam wiele zmartwienia, ale gorąco
dziękujemy Bogu, że jesteś zdrow i cały. Razem z Jankiem i Basią
wypłakaliśmy sobie oczy za Tobą. Ponieważ, jak zapewnił nas Pan Brown, i
Ty zrozumiałeś niewłaściwość swego lekkomyślnego kroku, spodziewamy się,
że już nigdy nie zrobisz czegoś podobnego. Mamy nadzieję, że starasz się nie
przysparzać kłopotów i zmartwień Panu Brownowi, który przyrzekł nam
opiekować się Tobą jak własnym synem. Wracaj jak najprędzej, gdyż rok
szkolny już się rozpoczął, a masz jeszcze poprawkę z geografii do zdawania.
Promocję do następnej klasy otrzymałeś pod tym warunkiem, lecz

przypuszczamy, że profesorowie zgodzą się, abyś zdawał poprawkę dopiero po półroczu. Bardzo zmartwili się Twym zniknięciem, a kiedy zawiadomiliśmy ich o Twoich losach po otrzymaniu listu Pana Browna, odnieśli się do nas bardzo życzliwie i okazali nam bardzo wiele serca. Musisz im za to podziękować po swoim powrocie. Janek i Basia oczekują Cię również z wielką niecierpliwością. Wszyscy wyjdziemy na Twoje spotkanie do portu”.

— Czy stało się coś złego, Tomku? — zapytał z niepokojem pan Brown, siadając obok niego.

— Nie... nie, ja... tylko płaczę z radości — odparł zawstydzony Tomek.

Pan Brown objął go ramieniem, mówiąc:

— Jednym strzałem zabiłeś lamparta, odważnie wytrzymałeś spotkanie z ranną lwicą, nie przestraszyłeś się Pigmejów, a płaczesz po otrzymaniu miłego listu. Dziwny z ciebie chłopiec, mój kochany Tomku. Wiesz, co ja bym

uczynił na twoim miejscu? Nie myśl, żebym płakał. Wygrzebałbym ze skrzyni w obozie podręcznik do geografii i uczyłbym się ze dwie godziny dziennie. Po powrocie do domu zdałbym poprawkę i uczyłbym się dalej pilnie, żeby zostać wielkim podróżnikiem. Nie jest przecież wykluczone, że jeszcze nieraz wybierzemy się na wspólną wędrówkę.

— To pan zabrałby mnie jeszcze ze sobą? — zapytał Tomek niedowierzająco.

— A dlaczego nie miałbym cię zabrać?

— Po tych wszystkich kłopotach, jakie panu sprawiłem... Nawet Sambo powiedział, że lepiej by było, gdybym się udusił pod łóżkiem na statku.

— Sambo nie powiedział tego w takim znaczeniu, jak ty to rozumiałeś

— roześmiał się pan Brown. — Będziemy się często widywali w czasie urządzania pawilonu w muzeum, a jeśli twoi rodzice pozwolą, zabiorą cię na następną wyprawę.

— Och! — zawołał Tomek, a pan Brown zrozumiał, co chciał w tym okrzyku wyrazić.

Minęło pięć dni, zanim znaleźli się z powrotem w obozie u stóp Kilimandżaro.

Okazało się, że Nick przy pomocy Sambo i Tany znacznie posunął pracę naprzód. Za dwa lub trzy tygodnie mogli wyruszyć z powrotem na wschód, do

portu. W tym czasie pan Brown spodziewał się zastać tam statek, który miał ich zabrać do Ameryki.

O ile list rodziców sprawił Tomkowi wielką radość, o tyle stan, w jakim zastał swego lwa, napełnił go niepokojem. Sambo dobrze sprawował nad nim pieczę, ale choć karmił go bardzo starannie, lew wyglądał mizernie. Gdy Tomek zaczął robić Sambo wyrzuty z tego powodu, Nick wytłumaczył mu, że nie może mieć o to do nikogo żalu. W nawale pracy nie mogli wypuszczać lwiątko z klatki, bo gdy tylko znalazło się na wolności, natychmiast uciekało za obóz, do lasu. Lwiątko po prostu tęskniło za matką i wolnością.

Toteż Tomek zajął się swym pupilem ze zdwojoną gorliwością. Całe przedpołudnie poświęcał na studiowanie podręcznika geografii, danego mu przez podróżnika, i na pilnowanie lewka, uparcie uciekającego w kierunku buszu. Po południu towarzyszył Nickowi i panu Brownowi w dobiegających końca lowach i fotografowaniu zwierząt.

Samo fotografowanie było dość skomplikowane. Nick sporządził specjalne zastony przy wodopojach zwierzęcych i kryjąc się za nimi, nieraz całymi godzinami fotografował wszystko co go interesowało. Często myśliwi wsiadali na ciężarówkę z aparatami fotograficznymi i wyjeżdżali w step. Na ogół zwierzęta rzadko uciekały na widok samochodu. Toteż podróżnikom udawało się podejść bardzo blisko i fotografować zwierzęta wprost z samochodu, nie narażając się na niebezpieczeństwo. Tomek bardzo polubił takie wyprawy. Zwierzętom nie działa się żadna krzywda, a można było obserwować ich zwyczaje i sposób życia.

Nie znajdował zbyt wielkiej przyjemności w polowaniu, które, jeśli nie było spowodowane rzeczywistą potrzebą, kończyło się bezmyślnym tępieniem, a nieraz i męceniem zanikających gatunków. Pan Brown chwalił go za tę wstrzemięźliwość w polowaniu. Nic znaczy to, że Tomek nie lubił strzelać. Wręcz przeciwnie, codziennie umieszczał papierową tarczę na drzewie i oddawał kilka strzałów dla wprawy. Strzelał już doskonale, bo trafiał w sam środek tarczy, oddalonej o pięćdziesiąt kroków.

Tak upływały ostatnie dni pobytu w dżungli. Zdawało się, że nic już nie zakłóci tego spokojnego trybu życia, gdy zaszedł wypadek, który znów uczynił Tomka ośrodkiem zainteresowania wszystkich członków ekspedycji.

Było to na trzy dni przed zwinięciem obozu...

Noc miała się ku końcowi. Ciemność zszarzała, by za krótką chwilę ustąpić miejsca jasnym, palącym promieniom słońca. Tomek przebudził się wcześniej niż zwykle. Nie wiedział, co go zbudziło. Spać mu się jeszcze

chciało, a jednak otworzył oczy w przeświadczeniu, że tuż obok niego dzieje się coś niezwykłego.

Przewrócił się na drugi bok na połowym łożku, nakrył się mocniej kocem i zamknął z powrotem oczy. Sen jednak nie przychodził.

— Tam się coś dzieje — pomyślał, unosząc głowę i nadsłuchując uważnie.

Tak, nie ulegało wątpliwości. Za płócienną ścianą namiotu coś piszczało i chrobotowało.

— To Miki! — mruknął Tomek. — Co on tam wyprawia?

Nagle ścianka namiotu, obok której stała klatka z lwiątkiem, wgięła się do środka tak mocno, że aż zatrzeszczały linki. Groźne, choć ciche, mruknięcie zelektryzowało Tomka.

Czyżby jakieś większe zwierzę usiłowało dostać się do lwiątko do klatki?

Bez chwili wahania odrzucił koc i wyskoczył z łóżka. Tak jak stał, w piżamie, chwycił swój karabin, wprowadził kulę do lufy i na palcach wyszedł z namiotu. Nie było chwili do stracenia, jeśli lwiątko groziło niebezpieczeństwo.

Zaledwie wyszedł z namiotu, gdy jego twarz musnął puszysty ogon. Lufa karabinu pochyliła się natychmiast, choć właściciel ogona znajdował się za boczną ścianą namiotu. Tylko długi ogon bił nerwowo o ziemię tuż u stóp Tomka.

— Lew! Duży lew! — przeleciało chłopcu przez głowę.

Z bronią gotową do strzału wychylił głowę za namiot.

Przy klatce leżała ogromna lwica. To jedną, to drugą przednią łapą starała się wyłamać bambusowe pręty klatki, a male lwiątko usiłowało precyzyjnie się do niej, piszcząc żałośnie.

Nagle całą okolicę zalało złotoróżowe światło, które raptownie zbieleło. Wstało słońce, zaczął się dzień. W tej samej chwili skądś z wysoka rozległo się ciche psyknięcie. Tomek i lwica równocześnie spojrzeli w górę. Lwica wydała głuchy pomruk, szczerząc białe, silne kły i załopotana ogonem, a Tomek, mimo przerażenia, nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

Na wysokim, lecz cienkim drzewie wisiał Sambo, usiłując wymierzyć z karabinu do lwicy. Nie mógł jednak tego dokonać, gdyż drzewo wyginało się

zdradliwie i musiał trzymać się obydwoma rękami, dzierżąc ciężki karabin pod pachą. Jego nogi wykonywały śmieszne ruchy, gdy starał się znaleźć pewniejsze oparcie dla stóp. Teraz, ujrawszy Tomka tuż za lwicą, zdobył się na największy wysiłek — lewą ręką opasał drzewko, a prawą stopę podciągnął do góry i oparł na pniu. Tak wsparty, położył karabin na kolanie i usiłował wymierzyć do lwicy.

Lwica i lwiątko jakby zdawały sobie sprawę z grozy swego położenia. Lwica chciała przepchnąć swą grubą łapę między prętami klatki, a lwiątko wspinało się na nie, daremnie szukając wyjścia. Lwica raz za razem szczyrzyła na Sambo kły, lecz więcej w tym było niepokoju niż wściekłości.

Przez te kilka sekund, które Sambo zużył na zdobycie pewniejszego oparcia na drzewie i złożenia się do strzału, setki myśli, jak błyskawice, przebiegło Tomkowi przez głowę.

Czyżby to była matka tego lwiątko? Niemożliwe, ale malec wrywał się do niej z zaufaniem i radością. Potem przeleciało mu przez głowę pytanie, co za los czeka lewka w Ameryce. Wcześniej czy później będzie musiał oddać go do ogrodu zoologicznego lub cyrku. Mógłby go sprzedać, ale wtedy lew pozostanie już na zawsze za kratami, aby zaspokajać ciekawość ludzką.

List!... Tomek otrzymał list od rodziców. Tęsknili i niecierpliwie oczekiwali jego powrotu. Dziękowali Bogu, że nie stała mu się krzywda. A on? Tęsknił za nimi całym sercem. Zrezygnowałby z najciekawszych przygód, byle tylko znaleźć się już u boku ojca i matki. Dlaczego on teraz nie miałby pomóc swojemu kochanemu Mikiemu? Spojrzał na Sambo. Murzyn zdobył wreszcie pewniejsze oparcie i, pochyliwszy głowę, mierzył z karabinu...

— Nie bój się, lewku. Wypuszczę cię, nie będą się ludzie na ciebie gapili, ani szydzili z ciebie — mruknął Tomek. I chociaż łzy żalu cisnęły mu się do oczu, rzucił karabin i odważnie wyszedł za ścianę namiotu. Podszedł do klatki i przyklęknął o krok od lwicy. Skupiwszy całą uwagę na Sambo i klatce z lwiątkiem, spostrzegła go dopiero teraz, gdy zaczął otwierać drzwi klatki. Warknęła, zwracając ku niemu obnażone kły, ale nie ruszyła się z miejsca.

Łomot spadającego z drzewa ciała nie odstraszył Tomka. To Sambo, widząc śmiertelne niebezpieczeństwo, grożące chłopcu oddanemu pod jego pieczę, zemdlął z wrażenia, nie mogąc już przyjść mu z pomocą. Strzelając do lwicy, mógł łatwo trafić Tomka. Było to za wiele na jego nerwy. Zemdlął i runął z drzewka. Leżał teraz bez oznak życia u jego stóp, a karabin przepadł gdzieś w trawie.

A tymczasem Tomek, w piżamie, klęczał o krok od lwicy. Jej paszcza drżała w paroksyzmie gniewu. Każda chwila mogła zdecydować o losie chłopca, ale Tomek żył i otwierał drzwiczki. W końcu udało mu się tego dokonać i wypuścić lwiątko z klatki. Reszta dokonała się w mgnieniu oka: lwica wydała groźny pomruk i, chwyciwszy lwiątko zębami za skórę na grzbiecie, wielkimi susami pobiegła w kierunku buszu. Tomek wstał i natychmiast zrozumiał, co ją spłoszyło.

O jakieś dwadzieścia kroków za nim pan Brown walczył z Nickiem. Lewa dłoń podróżnika, jak żelazne kleszcze, zaciskała się na ręce Nicka, który chciał strzelać do lwicy. Po twarzy Nicka płynęły grube krople potu. Dopiero gdy lwica porwała swe małe i wielkimi susami oddaliła się od Tomka, pan Brown zwolnił uścisk dłoni.

— Stary ośle! — wrzasnął Nick. — Mogła rozszarpać tego chłopca!

Śmierć jego spadłaby na twoją głowę!

Tomek nie odezwał się ani jednym słowem. Zerwał się z ziemi i wpadł do swego namiotu. Tam rzucił się na łóżko i rozplakał ze zdenerwowania, ale i z zadowolenia, że jego Miki jest wreszcie szczęśliwy, bo znalazł się z powrotem wśród swoich.

Nick chciał pójść za Tomkiem do namiotu, lecz pan Brown wziął go za rękę i powiedział:

— Zostaw go na chwilę samego. Bądź pewien, że nigdy bym sobie nie darował, gdyby go spotkała krzywda, ale szczere uczucie nigdy nie pozostaje bez nagrody. Przeczucie mówiło mi, że lwica nie skrzywdzi chłopca i wyczuje, że on chce jej pomóc.

— Dziwny z ciebie człowiek, mister Brown — odparł Nick ocierając ręką pot z czoła. — Najpierw pieklisz się, gdy chłopaczysko chce zapolować na śpiącego słonia, a kiedy wymienia czułości z rozjuszoną lwicą, patrzysz spokojnie i nie pozwalasz mi go ratować!

— Polowanie na słonie było nieposłuszeństwem, a tutaj przemawiało jego serce. Nie głów się nad tym, jeśli nie możesz tego zrozumieć, i nie gniewaj się, że nie pozwoliłem ci strzelić.

W tej chwili podszedł do nich Tana z kubłem wody i wylał ją na zemdlonego Sambo.

Sambo otrząsnął się i usiadł na ziemi. Nieprzytomnym wzrokiem spojrzął na pana Browna i Nicka, lecz zaraz sobie przypomniał, co przyprawiło go o zemdlenie, gdyż, ujrawszy otwartą klatkę, zawołał:

— Lew porwać Tomka!

— Nie, Tomek jest w swoim namiocie, a lwica zabrała ofiarowanego jej przez chłopca kociaka i uciekła z nim do buszu — odparł pan Brown.

— Ona nie zjeść mister Tomka?! — krzyknął Sambo.

— Nie.

— Ja mówić, że zwierzęta lubić ducha mister Tomka. On być wielki czarownik. Sambo widzieć, jak mister Tomek rozmawiać z lwicą.

— Tak, masz rację — odpowiedział pan Brown. — Mister Tomek jest wielkim czarownikiem. Nawet na mnie potrafił rzucić czary.

FFOOTTOOGRRRAAFFOOWWAANNIIIEE ZZWWIIIEERRZZAĄTT

Następnego ranka pan Brown i Nick wybrali się po raz ostatni na fotografowanie zwierząt. Tym razem jechali w step samochodem dobrze zamaskowanym zielonymi gałęziami, aby jak najbliżej podjechać do zwierząt, nie budząc ich podejrzeń. Tomek także zapakował się na samochód, chcąc jeszcze raz przyjrzeć się czworonożnym mieszkańcom Czarnego Lądu.

Były to wczesne godziny ranne, najlepiej nadające się do robienia zdjęć.

Nick tak bardzo ponaglał wszystkich, że zaciekawiony Tomek zapytał:

— Czy pan spodziewa się niepogody? Przecież słońce tak cudnie świeci i nie widać ani jednej chmurki na niebie. Będziemy mogli robić zdjęcia przez cały dzień, więc mamy jeszcze dużo czasu przed sobą.

— Właśnie dlatego, że zanoszą się na solidny upał, musimy się spieszyć, aby w rannych godzinach zrobić jak najwięcej zdjęć — odparł Nick. — Tutaj nie warto fotografować w czasie skwarnej południa. Nagrzane powietrze staje się w ciągu dnia tak ciężkie, że nawet zdjęcia zrobione w małej odległości, wypadają tak, jakby były poruszone.

Popędzani przez Nicka natychmiast wyruszyli w drogę i po godzinie jazdy znaleźli się w stepie, z którego strzelały wysokie rozłożyste drzewa, urozmaicając monotony krajobraz.

Samochód zatrzymał się w pobliżu kępy drzew. Nick przygotował kamerę, a Tomek z lornetką wszedł na daszek szoferki.

Wkrótce obok samochodu przebiegło kilka zebr. Te małe pasiaste koniki, niedające się oswajać, ogromnie zaciekały Tomka, lecz nie mógł ich długo obserwować, gdyż zaledwie zaterkotała kamera Nicka, uciekły w popłochu. Nie było jednak czasu na żal, gdyż jakby na zamówienie zjawiły się żyrafy.

Było ich kilkanaście, w tym dwoje małych. Wśród tych długoszyich zwierząt wyróżniały się trzy sztuki, niemal pięciometrowej wysokości. Poruszały się dziwnie niezgrabnie, jak drewniane kukły, a ich głowy z maleńkimi różkami chwiały się dziwnie w takt długich skoków.

— Czy to prawda, że żyrafy nigdy nie wydają z siebie głosu? — zapytał Tomek, gdy stadko oddaliło się od samochodu.

— Nie, żyrafy są nieme. Mimo że posiadają tak długie szyje, nie mają strun głosowych — wyjaśnił Nick.

Wkrótce potem podróżnicy ujrzeli dwa wspaniałe okazy nosorożców. Na polecenie Nicka samochód powoli posuwał się w ich kierunku. Z początku nie zwracały uwagi na ostrożnie zbliżającą się „kępę zieleni”. Dobrze zamaskowany samochód nie budził ich obaw, kiedy jednak zatrzymał się o

dziesięć metrów od nich, jeden nagle parsknął i z wściekłością ruszył do ataku.

Tomek uczeplił się karoserii, lecz potężne cielsko nie uderzyło w maszynę. W odległości dwóch do trzech metrów od samochodu nosorożec zatrzymał się nieoczekiwanie w miejscu, tak jak nieoczekiwanie ruszył przedtem do ataku. Parsknął głośno, zorał ziemię słupowatymi nogami i, utkwivszy małe ślepia w boku samochodu, stał chwilę. Następnie, jakby się nic nie stało, odwrócił się tyłem i najspokojniej skubał trawę.

Nick zrobił doskonałe zdjęcia. Tymczasem Tomek z zaciekawieniem obserwował nosorożce. Jak się później dowiedział, zwierzęta te, mające słaby wzrok, biorą wszystko, co napotkają na drodze, za wroga. Ruszają z miejsca do ataku, lecz gdy z bliska zobaczą nieznaną osobę, którego zapach nie przypomina im niebezpieczeństwa, zawracają i spokojnie zajmują się sobą. Zdarza się, że nosorożce atakują podróżnika czy myśliwego, szarżują z

pochylonym łbem, uzbrojonym w dwa groźne rogi, umieszczone jeden za drugim na nosie i w ostatniej chwili zawracają, rezygnując z ataku.

Po zrobieniu dostatecznej ilości zdjęć, mężczyźni oddalili się powoli, nie niepokojąc nosorożców.

W pewnej chwili Tomek zauważył kilka strusi, które jednak prędko zniknęły z pola widzenia, ujrawszy samochód. Silne i szybkie nogi zapewniały im bezpieczeństwo nie tylko przed ludźmi, ale i przed drapieżnikami zagrażającymi ich życiu. Potem w pobliżu samochodu przewinęło się stado bawołów, a na pobliskich pagórkach Tomek wypatrzył wielką ilość antylop kudu, których głowy ze ślimakowato skręconymi rogami pochylały się nad soczystą trawą.

Tuż przed południem w dali ukazało się spore stado słońi, ale nie sposób było je sfotografować, gdyż warkot motoru wypłoszył zwierzęta do pobliskiej dżungli. Na jej skraju stali około dwóch godzin i udało się im jeszcze sfilmować piękny okaz lwa i dwie pantery. Ponieważ skwar stawał się nie do wytrzymania, pan Brown zdecydował o powrocie do obozu. Tak zakończył się pobyt Tomka u stóp góry Kilimandżaro. Następnego ranka rozpoczęło się pakowanie skór i innych zebranych dla muzeum eksponatów, a wkrótce potem zaczęto związać cały obóz.

TTOOMMEEKK ZZDDOBBYWWAA SSŁŁAAWWĘĘ

Tomek drżał z niecierpliwości. Od samego rana stał na najwyższym pokładzie, oczekując na horyzoncie Statuy Wolności, stojącej u wejścia do portu nowojorskiego.

Przeszło trzy tygodnie „Saratoga” pruła fale morskie, kierując się ku amerykańskiemu kontynentowi. Dziś miał nastąpić kres długiej podróży. Tomek był pewny, że powiadomieni telegraficznie rodzice będą czekali na niego w porcie.

Tomek nie wypoczywał na okręcie po przygodach w Afryce. Codziennie uczył się z panem Brownem geografii, a poznawanie jej tajników nie było już dla niego nużące ani nudne. W końcu pan Brown orzekł, że Tomek umie już znacznie więcej z geografii, niż to przewiduje program szkolny.

— Odpocznij sobie teraz — powiedział pewnego dnia.

— W domu czeka cię nauka, a egzamin zdasz albo ja nie znam się na tych sprawach.

Tomek uznał te słowa za pochwałę dla swej gorliwości. Tym chętniej przebywał teraz w kabinie telegrafisty, obserwując jego pracę. Pan Brown,

Nick, a szczególnie Sambo opowiedzieli nielicznym pasażerom o przygodach Tomka, co przysporzyło mu ogólnej sympatii. Nawet poważny kapitan „Saratogi” często zabierał go na swój mostek kapitański i chętnie udzielał różnych wyjaśnień.

W taki sposób podróż nie dłużyła się Tomkowi. Dopiero ten ostatni dzień pobytu na statku ciągnął się w nieskończoność. Tomek przestępował z nogi na nogę, wypatrując Statuy Wolności.

— Widać już ląd! — zawołał do niego pan Brown, stojący na mostku kapitańskim.

— Hurra! — krzyknął Tomek radośnie, ale upłynęły jeszcze trzy godziny, zanim weszli do portu.

Wszelkie obawy Tomka prysnęły jak zły sen, gdy znalazł się w ramionach matki i ujrzał ciepły wzrok ojca. Uściski i pocałunki Janka i Basi były nie mniej serdeczne.

Pan Brown zlecił Nickowi wyładowanie bagażu, a sam udał się z Tomkiem i jego rodziną do ich mieszkania. Dwie godziny minęły szybko na opowiadaniu wszystkiego, co zaszło od chwili ucieczki Tomka z domu. Pan Brown musiał jednak pomóc Nickowi w wyładunku bagażu. Pożegnanie było krótkie, ale serdeczne, a Tomek i jego rodzice jeszcze raz podziękowali mu za życzliwość.

Rodzice jakoś nie robili Tomkowi wyrzutów, chociaż opowiadał im dokładnie swe niebezpieczne przygody. W końcu jednak ojciec oznajmił, że gdy tylko odpocznie po podróży, będzie musiał zgłosić się do szkoły. Profesorowie zgodzili się, aby uczęszczał do następnej klasy, jednak pod warunkiem, że zda poprawkę najpóźniej do półrocza.

— Mogę zdawać tę poprawkę natychmiast — odparł Tomek.

— To się tak łatwo mówi — odpowiedział mu ojciec. — Ale jeśli nie zdasz, będziesz musiał pozostać w tej samej klasie.

— Pan Brown powiedział, że powinienem zdać ten egzamin.

— A jeśli pan Brown się pomylił?

— Nie, pan Brown nie mógł się pomylić, gdyż sam uczył mnie geografii

— odparł Tomek z dumą.

Pan Brown rzeczywiście się nie pomylił. Tomek zdał egzamin celująco i rozpoczął naukę w następnej klasie. Ku zdziwieniu rodziców, nie trzeba było już pędzić go do nauki. Robił też duże postępy, za które bardzo chwalił go pan Brown. Trzeba bowiem wiedzieć, że podróżnik tak polubił Tomka, iż jeśli sam nie miał czasu przyjść do niego, to często zapraszał chłopca do siebie. Pozwalał mu też przychodzić do muzeum. Tak więc Tomek miał możliwość obserwowania pracy, która go bardzo interesowała.

Minęło kilka miesięcy.

Pewnego dnia pan Brown wpadł na chwilę do rodziców Tomka.

— Chciałem państwa zaprosić na otwarcie afrykańskiego pawilonu w muzeum — powiedział.

— Więc już wszystko gotowe? — zawołał Tomek z radością.

— Tak. A ciebie spotka pewna niespodzianka w dniu otwarcia — odparł pan Brown.

Tomek chciał wyciągnąć z niego jakieś wyjaśnienia, ale pan Brown uśmiechał się tylko i nie chciał nic wyjaśnić.

W dwa dni potem Tomek, odświętnie ubrany, wraz z rodzicami i rodzeństwem znalazł się przed nowym pawilonem muzeum. Pan Brown otoczony był znanymi osobistościami, mimo to jednak znalazł chwilę czasu, aby osobiście wprowadzić Tomka z rodziną do pawilonu zaraz po przecięciu wstęgi. Gdy zaproszeni goście zdążyli się rozejrzeć po wspaniałej sali, pan Brown, trzymając wciąż Tomka za rękę, poprosił o chwilę uwagi.

Wszyscy spodziewali się, że nareszcie wyjaśni ową niespodziankę, którą tajemniczo zapowiadały zaproszenia dla gości i prasa. Tymczasem pan Brown w krótkich słowach opowiedział historię udziału Tomka w wyprawie. Przez cały czas chłopiec stał zaczerwieniony przy podróżniku.

gdyż w żaden sposób nie mógł uwolnić ręki, spoczywającej w dłoni pana Browna. Nie mógł zrozumieć, po co pan Brown opowiada tylu poważnym ludziom o jego nieposłuszeństwie. A pan Brown mówił do zaciekawionej publiczności. Kiedy doszedł do przyścia lwicy do obozu po Miki, wszyscy z niedowierzaniem spojrzeli na Tomka.

— I mnie było trudno w to uwierzyć — kończył swe opowiadanie pan Brown. — Dlatego też nie dziwię się, że państwo przyjmują moją opowieść z takim niedowierzaniem. Tak się jednak złożyło, że ujrzą to państwo osobiście. Podczas gdy ja i Nick usiłowaliśmy zbliżyć się do Tomka, a Sambo leżał zemdłony pod drzewem, nasz pomocnik Tana sfilmował prawie całą scenę.

Kilku ludzi wniosło ekran, zgaszono światła w pawilonie. Po chwili Tomek w piżamie klęczał na ekranie obok rozjuszzonej lwicy.

Wszyscy patrzyli na krótki film z zapartym tchem, a kiedy znów rozbłyły światła, owacjom nie było końca. W ciągu pięciu minut Tomek stał się popularny. Wszystkie niemal dzienniki i tygodniki zamieściły jego fotografie z dokładnym opisem przygód. W szkole proszono go, aby

publicznie opowiedział o swej podróży, a jedna z wytwórni filmowych zamieściła scenę z lwem w swym dodatku filmowym.

Kiedy po kilku dniach pan Brown zabrał Tomka na dłuższą przejażdżkę za miasto, zapytał go, czy cieszy się swą sławą.

— Nie — odparł Tomek ku jego zdziwieniu. — Wolałbym, żeby nikt się o tym nie dowiedział. Zrobiłem to dla mojego lwa, a nie dla siebie i rozgłosu.

— Doskonale cię rozumiem, lecz mimo to należała ci się nagroda — rzekł pan Brown. A i my myślimy podobnie.